STRON 8

ROK V • NR 9 /193/
NIEDZIELA
4 MARCA
LONDYN • 1951

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

W NUMERZE:
UWAGI O WSPÓŁCZESNEJ POEZJI — „L'ECOLE DE PARIS" — FAKTY I PRAWO

JAN TOKARSKI

WEZWANIE DO ROZSĄDKU

JEDEN z naszych przyjaciół zza Atlantyku nadesłał nam przed paru tygodniami artykuł o „objawieniach" niejakiej Mrs. Fred Van Hoof z Necedah, Wisconsin, USA. Pani Van Hoof twierdzi, że rozmawia z Matką Bożą, powtarzała więc Jej słowa tłumom katolickim i protestanckim, zbierającym się na miejsce „wizyj", komunikowała polecenia „niebieskie" przez radio, itd. A działo się to wszystko, przy niebywałym wprost rozgłosie, w maju, czerwcu, sierpniu i październiku zeszłego roku.

Artykuł pisany jest **bona fide** i jego autor przytacza rzekomą wypowiedź proboszcza „wizjonerki", który wprawdzie nie twierdzi kategorycznie, że wszystkie te zjawiska są prawdziwe, ale „miał szereg znaków, które go **skłaniają** do wiary w ich autentyczność. I tak np. chwyciły go dotkliwe bóle żołądka, gdy, chociaż wezwany, nie poszedł odwiedzić pani Van Hoof. Bóle ustąpiły natychmiast, skoro tylko postanowił pójść w odwiedziny: Po raz drugi bóle te powtórzyły się w czasie kazania, kiedy wyraził się: **owe pozorne objawienia**. I tym razem bóle natychmiast przeszły, gdy poprawił się mówiąc: **Objawienia**, a pomijając słowa: **owe pozorne**"...

Ryzykując, jak ów biedny proboszcz, „dotkliwe bóle żołądka", sądzę, że „objawienia" są nie tylko pozorne, ale wręcz niedorzeczne. Z dołączonej do artykułu wcale dużej ulotki, która podaje ich pełen tekst w języku amerykańskim, widać, że p. Van Hoof powtarza także rzeczy zupełnie sensowne, znajdujące się na tej czy innej kartce katechizmu. Ale też nie te wypowiedzi magnetyzują tłumy, zbierające się koło Necedah. Toć to są „rzeczy najdawniejsze w świecie": żyć zgodnie z przykazaniami, odmawiać różaniec, pokutować. Iluż nas, zwłaszcza dziś, nie znużyła i nie znudziła ta oczywistość, ta razowość religijnych pouczeń? Ale tak porcyjka rzeczy tajemniczych, a wiesz ty, co to będzie z Polską za lat dwieście"?, odrobina wieści politycznych z nieba, garść proroctw na przyszłość: — żeby wreszcie był jakiś namacalny pożytek z tej wiedzy absolutnej, posiadanej w zaświatach... Tych właśnie rzeczy nie brak w „widzeniach" Mrs. Van Hoof. I one to ściągają dziesiątki tysięcy Amerykanów, którym „Matka Boża" za pośrednictwem „wizjonerki" udziela pouczeń w duchu klasycznego... indyferentyzmu, stawiając na równi różne wyznania chrześcijańskie, wzywając do posłuchu wobec kapłanów i... pastorów. Ale ponadto uzupełnia wiadomości prasowe gazet amerykańskich zarazem dyskwalifikując je expressis verbis, że nie podają prawdziwych faktów, bo na Korei poległo 20.000 Amerykanów do 7 października zeszłego roku „nie jak na wojnie, lecz w bestialstwie"(?)... „Czarne chmury nadciągają nie nad Europę, Azję, Afrykę, Australię, lecz nad Amerykę Północną i Południową. Alaska pierwszą odskocznią. Pamiętajcie — brzegi Oceanu Spokojnego. Nie mamy czasu do stracenia..."

„Matka Boża" w tych „widzeniach" przeprowadza też statystykę modlitw i różańców, ujmując — tak po amerykańsku — w cyfrę natychmiastowy skutek swych poprzednich interwencji: „She said that many Rosaries are being said but that the United States is far behind Canada in prayers. She said that Canada has increased the Rosary and prayers 75 per cent since June 16": „Powiedziała, że odmawia się wiele różańców, ale że Stany Zjednoczone są daleko za Kanadą w modlitwach. W Kanadzie ilość różańców i modlitw wzrosła o 75 % od 16 czerwca"!...

Z całej tej gadaniny, w której nawet rzeczy zupełnie oczywiste i zgodne z nauczaniem Kościoła podane są w nieinteligentny i żenujący katolickiego czytelnika sposób, nie trudno stwierdzić, iż rzekome objawienia z Necedah pomnażają i tak już niesamowicie wielką ilość podobnych „wizyj" i „cudów", jakich zatrzęsienie mamy w ostatnich czasach: tu i ówdzie w Polsce, w Herlodsbach w Niemczech, Hamsur w Belgii, Marta nad jeziorem Bolsena, (gdzie Matka Boża „objawiła" się w piwnicy z winem), Voltago (również we Włoszech), w Espis i Bouxieres we Francji etc. Nie kwestionując nawet niekiedy subiektywnej szczerości wizjonerek, są to, jak z reguły przy większości t.zw. objawień, często i w wypadku dusz szczerze religijnych, pobożnych, świętobliwych nawet — halucynacje, złudy, iluzje, objawy histerii.

Czasy są pełne niepokoju, nerwowej niepewności. Rzeczy zwyczajne urastają do rozmiarów nadzwyczajnych, a w zmasowaniu i ucisku nadchodzącej grozy zdaje się zanikać racjonalność tego, co się dzieje. Wydaje się, że naturalny rozum już nie ogarnia faktów, nie zapobiegnie katastrofom, że musi nastąpić coś nieodgadnionego, jakaś interwencja zaziemska, że tajemnicę może wyjaśnić tylko tajemniczość. Usiłują więc ludzie zajrzeć za zasłonę przyszłości. Pragną uciec od tego, co jest, jakby przeskoczyć cały niepokój i za cenę wieszczby choćby o największych okropnościach zdobyć nadzieję, że „nie ma takowych terminów, z których by przy pomocy boskich auxiliów powstać nie było można". Tak jak Mrs. Van Hoof, która Matce Bożej przypisuje zdanie (końcowe): „My child, the persecution will be severe and hard to bear, but be not afraid" — prześladowanie będzie srogie i trudne do zniesienia, ale nie obawiaj się.

Artykuł o „widzeniach" p. Van Hoof nadesłał nam nie jakiś maniak, ani człowiek nieoświecony. Przeciwnie, jest to inteligent, posiadający wysoki stopień naukowy. Łatwowierność bowiem i pozbawiona krytycyzmu, przesadna wiara w cuda, objawienia, widzenia, oczekiwanie rzeczy nadzwyczajnych, nie jest bynajmniej, jakby się mogło wydawać, przywilejem tak zwanych ludzi prostych. Ba! Temu powszechnemu nastrojowi ulegają nawet ludzie zawodowo przecież odporni przeciw inwazji cudowności — niektórzy księża. Niemało proroctw o wszelakiego rodzaju „cudownych" okropnościach nasłuchałem się przed paru laty od duchownych w Rzymie. Na konto świątobliwie zmarłego don Orione opowiadano mi niesamowite historie o jego rzekomych rewelacjach Piusowi XII: o zakonnicach, zakonnikach i księżach, którzy „wkrótce", (już minął czas przez „proroków" wyznaczony...) będą mordowani setkami i, poćwiartowani, wisieli na hakach w sklepach rzeźniczych Wiecznego Miasta, Papież „po trupach kardynałów" będzie chronił się ucieczką z Watykanu, a na kopułę św. Piotra w miejsce krzyża zawiśnie sierp i młot. Inni łączyli te „proroctwa" z listem, który, jak wiadomo, zostawił św. Jan Bosco, z poleceniem otwarcia w 50 lat po jego śmierci (co rzeczywiście nastąpiło w r. 1938). Jeszcze inni opowiadali o groźnych lub pocieszających widzeniach różnych stygmatyków i stygmatyczek, inni znowu powoływali się na „nowe i straszne" tajemnice, zlecone „ostatnio" Papieżowi od Łucji z Fatima, po których Pius XII zamknął się i długo płakał — piangeva e piangeva...

Przed trzema laty pewien Polak znany nie tylko na tej Wyspie z błyskotliwej inteligencji, zapewniał mnie jako o fakcie, najpoważniej i najtragiczniej, że antychryst już przyszedł na świat. Urodził się mianowicie w Jerozolimie jako dziecko pewnej zakonnicy i Żyda(!). Wkrótce więc nadejdą rzeczy ostateczne, a antychryst, chociaż ma dopiero 2 lata, wykazuje rozum nadnaturalny i zapowiada, że zgodnie z wolą Bożą świat zostanie mu oddany we władanie; zaczną się przeto, jako znak jego nadchodzącej władzy, masowe odstępstwa najpierw księży a potem świeckich. Gdy osiągnie 33 lata, wystąpi na widownię świata. — Czekajmy zatem roku 1979...

Niedawno we Włoszech wyszły z druku ulotki z rzekomymi przepowiedniami powszechnie czczonego zakonnika — nie trzeba dodawać, że nie przez niego zredagowane. Dopiero co kolportowano w Rzymie „Posłanie Najświętszej Matki Boga do kapłanów". „Posłanie" znajdowało legiony łatwowiernych czytelników i kolporterów, wśród których nie brakło duchownych, przekonanych o autentyczności apokryfu. Trzeba było dopiero autorytatywnego wystąpienia w „Osservatore Romano", stwierdzającego, że owo „posłanie" jest pozbawione wszelkich cech wiarygodności. — Przed paru laty w Polsce pewien wybitny eklezjasta szarpał nerwami niektórych kół wiernych, zapowiadając dokładnymi datami „przełomowe" wydarzenia (rzecz jasna, że się nie zdarzyły!), ale nie pamiętając o zdrowej nieufności Kościoła względem wszelkich wydarzeń o charakterze nadprzyrodzonym, tego Kościoła, który w przewodzie uznania dwu cudów, po-

LITTLE CROSBY

KATOLICKI „The Universe" zamieścił obszerny opis wsi Little Crosby pod Liverpoolem, jedynej wsi w Anglii właściwej (w Szkocji, na wyspach Hebrydzkich, jest takich wiosek cała garść), która pozostała nieprzerwanie od czasów Reformacji wsią czysto i wyłącznie katolicką.

Hrabstwo Lancashire uchodzi za odwieczną twierdzę katolicyzmu angielskiego. Little Crosby jest najjaskrawszym przykładem ciągłości katolicyzmu angielskiego w Lancashire od czasów przed-reformacyjnych — ale i gdzie indziej w Lancashire ciągłość ta jest wszędzie widoczna. Mamy tu do czynienia ze starym katolicyzmem autentycznie angielskim, — a więc ani nie pochodzenia irlandzkiego, ani nie konwertyckim. W Little Crosby widzimy przechowany szczątek starej Anglii średniowiecznej, — nie tej, którą znamy dzisiaj, ale tej, która wysyłała krzyżowców do Ziemi Świętej, a misjonarza św. Bonifacego do Niemiec, oraz która modliła się w Walsingham.

Little Crosby jest społecznością, która zamknęła się w sobie jak ślimak, żyła swoim życiem wewnętrznym i — znajdując się niemal na przedmieściu Liverpoolu — odgrodziła się od świata zewnętrznego i tym sposobem zdołała przetrwać. Rodziny chłopskie w Little Crosby mieszkają po 400 lat w tych samych chałupach; książki dzierżawców mają z reguły — po 200 lat.

Właścicielami Little Crosby jest rodzina szlachecka Blundellów, która siedzi w Little Crosby od 800 lat; chłopi miejscowi są przeważnie jej dzierżawcami. Rodzina ta była zawsze niezachwianie katolicka — i wspólna postawa religijna wsi i dworu i ich oparta na tym solidarność, są jedną z głównych przyczyn tego, iż Little Crosby zdołało oprzeć się prześladowaniom. Pięć generacji Blundellów, po kolei, jedna po drugiej, spędzało spore okresy życia w więzieniach za „nieprzejednany opór", to znaczy za wiarę. W roku 1926 członek tej rodziny, Francis Nicholas Blundell zasiadał jako poseł w parlamencie brytyjskim. Gdy na jakimś posiedzeniu mówiono o tolerancji i „szerokości poglądów" narodu brytyjskiego, odpowiedział na to że zapewne tej „szerokości poglądów" zawdzięcza on fakt, iż jeden z jego przodków w więzieniu zmarł, a inny w więzieniu się urodził.

Inny Blundell, William, napisał w roku 1867, że w Little Crosby „nie ma ani jednego żebraka, ani jednej karczmy i ani jednego protestanta." Pozostaje to prawdą po dziś dzień. Ani jeden protestant, dziś w Little Crosby nie mieszka. Rzecz ciekawa, że nie mieszka tam również ani jeden człowiek pochodzenia irlandzkiego, — wszyscy są czystej krwi Anglikami. W roku 1950 ani jeden mieszkaniec Little Crosby nie opuścił spowiedzi wielkanocnej. W ciągu 23 lat duszpasterstwa obecnego proboszcza raz tylko jeden zdarzył się w Little Crosby wypadek małżeństwa mieszanego (z protestantką).

Przez cały czas prześladowań zawsze był w Little Crosby — potajemnie — katolicki ksiądz i zawsze się — potajemnie — odprawiała Msza. Kryjówki księdza i miejsce potajemnej Mszy dotąd są w Little Crosby pokazywane.

Obecnie są w Little Crosby cztery kaplice katolickie, oraz duży parafialny kościół, zbudowany po skończeniu się prześladowań, 103 lata temu, — na 3 lata przed wznowieniem hierarchii.

POLITYKA „CONTAINMENT"

Po słowach „*appeasement*", „*appeaser*" itd. anglo-amerykańskie słownictwo polityczne wzbogaciło się o nowe wyrażenie: „*containment*", co po polsku przetłumaczyć można jako „powstrzymywanie". Polityka, którą określa się tym mianem, zmierza do takiego umocnienia bloku zachodniego, by ewentualna agresja sowiecka stała się zbyt wielkim ryzykiem, — i do stałego podtrzymywania owego stanu równowagi sił.

Jako gorąca zwolenniczka a nawet teoretyczka takiej właśnie polityki zadeklarowoła się ostatnio Barbara Ward, b. współredaktorka londyńskiego „*Economist*" i b. „gubernatorka" B.B.C., w swej książce „*Policy for the West*", *która* ukazała się w serii „Penguin Special".

Polityka „containment" — stwierdza p. Ward — opiera się na dwóch założeniach. Pierwszym, które przyjmuje się na Zachodzie tylko zwolna i opornie, jest uznanie Rosji za „siłę całkowicie i niezmiennie wrogą". Drugie założenie nie zostało jeszcze powszechnie przyjęte: jest to przekonanie, że wojna nie jest nieunikniona i że przez połączenie siły i cierpliwości blok zachodni może opanować agresywność komunistyczną i utrzymać ją terytorialnie w ramach obecnie istniejących.

W podobny sposób — argumentuje p. Ward — Imperium Rzymskie przez stulecia ochraniało swe granice przed najazdami barbarzyńców. Mimo częstego braku koordynacji Zachód może pochlubić się już w tym zakresie zdumiewającymi osiągnięciami, za które autorka uważa: przezwyciężenie sowieckiej blokady Berlina; ocalenie przed komunizmem Grecji; zobowiązanie się Ameryki do udziału w obronie Europy; szybką odbudowę przedwojennej wytwórczości krajów zachodnio-europejskich dzięki planowi Marshalla; wreszcie udzielenie niepodległości Indiom, Pakistanowi, Birmie, Cejlonowi, Indonezji, co utrudniło komunistom posługiwanie się nacjonalizmem ludów azjatyckich.

Ogólna teza książki p. Ward nie jest czymś nowym; spotykamy ją często w oświadczeniach mężów stanu a także różnych publicystów i pisarzy. Świeżo, jak donosiliśmy w ŻYCIU, przyłączył się do niej Bertrand Russell. Są jednak także politycy i pisarze, którzy wyraźnie lub między wierszami dają do poznania, że nie uważają koncepcji „containment" za wyraz trzeźwej oceny rzeczywistości. Ocena ta zresztą zmienia się często z miesiąca na miesiąc, zależnie od rozwoju wydarzeń międzynarodowych, przemian w technice wojennej i innych czynników.

trzebnych do beatyfikacji, nie angażującej przecież nieomylnego Urzędu! wymaga z zalecenia Benedykta XIV**conajmniej** takiej samej pewności, jakiej się żąda przy dowodach w sprawie kryminalnej... Ileż to wieków temu konający Grzegorz XI, trzymając w ręku Wiatyk, przestrzegał przed wizjonerkami **loquentes visiones sui capitis**: opowiadających wizje, zrodzone w własnej wyobraźni, sam za życia przez swą wiarę w świętobliwe brednie oszukiwany.

Dwa są dziś zjawiska szczególnie groźne dla świata, walka z wiarą i ślepa, egzaltowana, przesadna wiara. Antyreligia prześladuje Kościół, a ślepa wiara go kompromituje. I uszy tak ateistów jak i „wierzących każdemu duchowi" jednakowo są zamknięte na zdrową naukę Kościoła.

Jak ogromne rozmiary przybrała ta plaga „nadprzyrodzoności", jak wielka jest ta bania, która się rozbiła nad światem z objawieniami i tym podobnymi zjawiskami, zagrażającymi spokojowi nerwów i normalnemu zdrowiu wiary, świadczy wystąpienie monsignora Alfredo Ottaviani w „Osservatore Romano" z 4 lutego b.r. w całostronicowym artykule p.t.: **Chrześcijanie, bądźcież roztropniejsi!** Autor jest assesorem św. Officjum, a więc najważniejszego urzędu Kościoła, czuwającego nad czystością wiary i obyczajów.

Swoją drogą takie wystąpienie w naczelnym dzienniku katolickim świata, w półoficjalnym organie Stolicy św., wysokiej figury najważniejszej kongregacji Kościoła przeciwko zbyt gorliwej wierze w cuda i zjawiska nadprzyrodzone, nie jest pozbawione elementu niezwykłej sensacji a nawet pikanterii dla laickiego czytelnika. Sam Prałat stwierdza, że jeszcze pół wieku temu nikt nie potrafiłby sobie nawet wyobrazić takiej możliwości, iż to właśnie Kościół będzie zmuszony przywoływać ludzi do rozsądku i przestrzegać tak wiernych jak i nawet księży przed przyjmowaniem za prawdziwe domniemanych cudów i objawień, o jakich dochodzą wciąż wieści z tylu miejsc globu.

„Żyjemy w czasach, pisze autor, kiedy rośnie powszechna namiętność cudów — nawet w sprawach religii". „Grupy wiernych wypowiadają się o okolicznościach rzekomych widzeń i cudów, a odwracają się tyłem od Kościoła, sakramentów i kazań". „Ludzie, którzy nie znają pierwszych słów **Credo**, narzucają się jako apostołowie żarliwej religijności".

Dziwaczna jest mentalność wielu ludzi współczesnych. Ci sami, którzy przecież nie zrobiliby sobie pary butów, nie uszyliby ubrania, nie przeprowadzali leczenia, lecz udają się do odpowiedniego specjalisty i fachowca — szewca, krawca, lekarza — równocześnie mają pretensję do absolutnej nieodwołalnej kompetencji we wszystkich sprawach, dotyczących życia religijnego i najmniejszej nawet uwagi nie zwracają na głos rzeczywistych i autentycznych fachowców w tej dziedzinie: Papieża i biskupów. „Niechże więc katolicy słuchają Słowa Bożego, które Kościół — i tylko Kościół — zachowuje w całości i nienaruszone i niech się nie błąkają jak owce bez pasterza, słuchając głosów, które pragną zagłuszyć głos Boga przez zagłuszenie głosu Kościoła".

„Dobry chrześcijanin, mówi msgr. Ottaviani, wie, że prawdziwa religia spoczywa na prawdziwej wierze i Objawieniu, które skończyło się ze śmiercią ostatniego Apostoła. A wtedy zostało powierzone Kościołowi, aby je zachowywał i strzegł go". „Nawet jeśli chodzi o świętych, świętość nie polega na nadprzyrodzonych darach wizyj, proroctw i cudów, lecz zależy całkowicie od heroicznego praktykowania cnót". „Mamy Pismo św., Tradycję, mamy Najwyższego Pasterza i setki pasterzy, żyjących obok nas. Dlaczegoż więc wykazywać głupotę i niezdrową egzaltację wobec tych, którzy nam się przeciwstawiają, a nawet żywią względem nas głęboką pogardę".

„Bądźcie chrześcijanami, pisał Dante, i zachowujcie się z godnością, a i nie bądźcie piórkiem, które każdy wiatr porywa. A w dalszym ciągu Dante podaje te same racje, które my tu podajemy: **Macie Stary i Nowy Testament oraz Pasterza Kościoła, aby was prowadził.** I wyciąga wniosek, jaki i my wyciągamy: **Wystarczy to dla was i dla waszego zbawienia**".

Pisząc to, nie mam niestety pod ręką numeru „Ossevatore Romano" z artykułem monsignora Ottaviani. Korzystam jedynie z cytatów w katolickiej prasie angielskiej i irlandzkiej. Sądzę jednak, że dostatecznie jasno wyrażają główną myśl autora, odwiecznie katolicką. A mianowicie to, co już nakazywał św. Jan Ewangelista: „Najmilsi! Nie każdemu duchowi wierzcie, ale badajcie duchy, czy z Boga są". (1 Jan 4, 1). A zwłaszcza to, co pisał św. Paweł: „Ale choćbyśmy i my, albo nawet anioł z nieba głosił wam coś **ponad to**, cośmy wam głosili — niech będzie przeklęty". (Gal. 1, 8). Realizm katolicki przyjmuje bowiem cuda, tak zwane objawienia prywatne, widzenia, zjawienia. Są to bowiem rzeczy obiecane przez Chrystusa i według jego obietnicy związane z głoszeniem chrześcijaństwa. Ale wiemy z Pisma św., wiemy z historii, wiemy od Jezusa, że prawdziwe „znaki" towarzyszyły, i będą towarzyszyć, nie tylko chrześcijaństwu, ale różnym formom przeciwchrześcijaństwa.

I już to samo nakazuje ostrożność katolikom, tak jak ostrożny jest Kościół, który nawet jeśli potwierdza niektóre objawienia, nie orzeka o ich źródle, czy jest to rzeczywisty głos Boży. Stwierdza tylko, że nie ma w nich nic sprzeciwiającego się wierze i obyczajom, ale tak, jak nie poręcza pochodzenia, tak też nie poręcza szczegółów treści, stąd w tych objawieniach prywatnych, których autorki (przeważnie) powołują się na rozmowy z Jezusem, Matką Bożą, świętymi są nierzadkie wcale sprzeczności i różnice w szczgółach, za które odpowiada ludzka ułomność. Bodaj, że dwa są tylko wypadki, w których Kościół, przynajmniej w zakresie niektórych faktów, uznał autentyczny głos Boży: w widzeniach św. Julianny belgijskiej, którym zawdzięczamy święto Bożego Ciała i Marii Małgorzaty, jeśli chodzi o ustanowienie święta N. Serca Jezusowego.

Żaden chrześcijanin, gdy ma ważne ku temu powody, nie jest zmuszony przyjmować autentyczności nawet uznanych przez władze kościelne objawień, jak św. Katarzyny, św. Brygidy, etc, jeśli nie czyni tego lekkomyślnie. Teologowie bowiem twierdzą, że prywatne objawienia, nawet potwierdzone przez Kościół, są zawsze tylko prawdopodobne. Nie ma przy nich pewności absolutnej, że w swym ujęciu słownym nie mijają się w jakichś szczegółach z prawdą.

Najistotniejsze bowiem jest to, że nigdy nie dodadzą one ani jednej joty do tego, o czym wiemy z Pisma i Tradycji i czego naucza Kościół, chociaż rola ich nieraz bywała, bywa i będzie bardzo wybitna w ożywieniu pewnych form pobożności. Nie należy ich ani pożądać, ani do nich przykładać nadmiernej wagi. A już, co najbardziej szkodliwe, czego jesteśmy świadkami nieraz w ciągu wieków (wiek V, X, XIII, XIV, XV, XVI, czasy przed rewolucją francuską, czasy Piusa IX etc.) i zwłaszcza dziś: objawienie prywatne, wizje, cuda nie mogą czynić z religii sensacji i zasłaniać tego, co w Kościele jest jedynie istotne i obowiązujące, mianowicie faktu samego Kościoła, jego nauki, opartej o oba źródła Objawienia Bożego i sakramentów.

Czasy tak pełne niepokoju jak nasze, obfitują w namiętne pożądanie nadzwyczajności, oczekują jakiejś tajemniczej ingerencji w zbyt już skomplikowane sprawy świata, a sprzyja temu nastrojowi powszechna tendencja antyracjonalistyczna epoki.

Przed mniejwięcej pół wiekiem dziadowie i ojcowie nasi przeżywali apogeum racjonalizmu. Obiecywali urządzić „nowy, wspaniały świat", wolny od wszelkich przesądów. Nastawienie czasu udzieliło się wielu teologom katolickim, którzy przystąpili do prawdziwej kwadratury koła: do racjonalistycznej interpretacji Objawienia, do „oczyszczenia" religii z nadprzyrodzoności, z cudów, z „przesądów". Chodziło o to, aby człowiek „nowoczesny", człowiek wykształcony, kulturalny, nie musiał się wstydzić tego Boga, którego ośmiela się podawać mu do wierzenia Kościół. Trzeba było Objawienie poobcinać, poprzykrawać do dających się strawić rozmiarów, odrzucić wszelką objektywność faktów nadnaturalnych. Można by powiedzieć, że była to próba stworzenia religii estetycznej czy też próba estetyzmu, podniesionego do roli religii. Jak to dobrze ujął bodaj Chesterton — ludzie byli jeszcze gotowi zostawić Bogu może nawet przywilej ukrzyżowania się, pod warunkiem wszakże, aby to uczynił w swym prywatnym gabinecie.

Ale przyszła jedna wojna, potem druga, rewolucje, kryzysy, zagrożenia. Nowy wspaniały świat, który racjonalizm przedstawiał jako fakt, zawalił się z trzaskiem, zanim jeszcze zdążył stanąć. Zachwiało się wszystko, łącznie z rzeczami, które od wieków były uważane za najpewniejsze. Racjonalizm stracił kredyt. Zbyt dużo miejsca już po pierwszej wojnie musiała zająć wiara i nadzieja, aby go zostało jeszcze wiele na racjonalistyczną pewność siebie. Stąd też powojenna euforia różnego rodzaju antyracjonalistycznych mitów i fałszywych mistyk, jak nacjonalizm, faszyzm, hitleryzm, a przede wszystkim najbardziej wykończona, najkonsekwentniejsza z nich — komunizm.

Dawno już, jeszcze bez marksizmu, zauważono, że materializm i ateizm budują nad sobą nadstrukturę mistyczną. Że jest to dogmat i wiara na opak, kopia Objawienia, obietnica pośpiesznego Odkupienia. Marxizm bowiem nie uszedł, bo nie mógł, ogólnemu prawu czerpania z chrześcijaństwa, m. i. już choćby dlatego, że jego twórcą był chrześcijański, protestancki Żyd, wychowany w kraju katolickim. Z żydostwa wziął kosmiczność wizyj i profetyzm, z protestantyzmu wrzącą rewolucyjność Lutra, z katolicyzmu dogmat ale bez wolności i całą chrześcijańską finalność, docelowość: całe jego niebo. To wszystko, co jest pojęte jako dzieło Objawienia, Chrystusa, Kościoła i Łaski, czego przygotowaniem i wypełnianiem ma być wszystek czas, dany ludzkości aż do skończenia ziemi, a owoc dopiero po Sądzie Ostatecznym — marxizm chce zrealizować już tu, na ziemi i dla ziemi. Jest w nim niecierpliwość kolosalnej sekty eschatologicznej, aby Odkupienie wyczerpać pod niebem. Jest to chęć przerzucenia na ziemię, w formie prawie niezmienionej, nauki o Jeruzalem Niebieskiej, zbudowanie Kościoła **ziemskich** nadziei (marzenie tak nawskroś zachodnie).

I tą mistyką okruchów chrześcijaństwa, które w oderwaniu od swego kontekstu oszalały przeciw niemu, mistyką sprawiedliwości, równości, dobrobytu, tą teologią trawienia, eschatologią Raju a równocześnie „konkretyzacją" chrześcijańskiej nauki o Odkupieniu, uwiódł i uwodzi komunizm nie tylko swoich żarliwych wiernych w tak zwanym świecie wolnym, ale i miliony swoich wrogów, którzy z tą jego wizją walczą z szeregów katolickich; którzy usiłują walczyć — tylko na jego planie. Którzy przeciw frazeologii o Raju komunistycznym wzniecają kurzawę frazeologii o również ziemskim Raju, ale „katolickim", łudząc siebie i drugich argumentami, narzuconymi przez materializm, jakoby był na stałe możliwy jakiś, powiedzmy, wygodniejszy sposób oczekiwania tu na zbawienie niż ten, który jest naszym udziałem. **„Il y a des marxismes de marxistes et des marxismes d'anti-marxistes"**, jak powiada prof. Daniel Villey*). Ale chrześcijaństwo nie jest lekarstwem na wszystkie bóle świata, a jego realizowanie — automatycznym sposobem urządzania sobie także wygodnego życia na ziemi. Słowa Chrystusa o prześladowaniu jego wyznawców i okolicznościach Paruzji nie pozwalają katolikom na wiarę w **postęp** w tej dziedzinie. Tymczasem, ilu z nas narzeka od lat, kiedy życie stało się nam mniej wygodne, na brak gotowych wzorców realizacyjnych, ilu oczekuje ich od Kościoła, jakby to było jego zadaniem, ilu żąda recept „co robić praktycznie" (gdy rzeczą najpraktyczniejszą w świecie jest zawsze dobra teoria), ilu narzeka na „niekonkretność" encyklik, których się i tak nie czyta i na „niekonkretne" przemówienia Papieża, jakby wyobrażając sobie, że za sam fakt wiary, automatycznie, tak po starotestamentowemu, należy się egzempcja spod biedy i nieszczęść świata.

Gustavo Ponza opowiada, że gdy stanął przed Piusem IX dnia 10 września 1870 roku jako wysłannik Wiktora Emanuela, papież z niesłychaną mocą powiedział mu, (nawiązując do znanego tekstu z księgi Amosa): „Nie jestem prorokiem, ani synem proroka, ale zaprawdę powiadam ci, że do Rzymu nie wejdziecie".

Ta przepowiednia (jak i inne wówczas) błyskawicznie rozeszła się między ludem i zapytany, co o tym sądzi, zdaje się ówczesny generał jezuitów, miał podobno odpowiedzieć: „Jest czterech wielkich i dwunastu mniejszych proroków. We wszystko, co o n i przepowiedzieli, wierzę. Ale oprócz tego wierzę słowom Apostoła: W s z y s c y, k t ó r z y c h c ą ż y ć p o b o ż n i e w J e z u s i e C h r y s t u s i e, p r z e ś l a d o w a n i e c i e r p i e ć b ę d ą."

I rzeczywiście: w dziesięć dni później Piemontczycy weszli do Rzymu, Papież został więźniem Watykanu, a ci łatwowierni katolicy, którzy oczekiwali cudu dla Wikariusza Chrystusowego, doznali wielkiego rozczarowania.

* * *

Jeśli przed pół wiekiem chrześcijaństwo wydawało się wielu jego teologom zbyt nadnaturalne, za mało krytyczne i rozumne, dziś wydaje się nazbyt racjonalistyczne i, z powodu racjonalnych formuł teologii, za mało otwarte na strumień duchowości, świętości, nadprzyrodzoności. Po racjonalizmie bowiem przyszedł okres antyintelektualizmu i od dawna głosi się prymat stawania nad bytem, prymat działania nad poznaniem oraz odbiera wszelką podstawę objektywną pojęciom uniwersalnym, które nie przystają do żadnej z prawd chrześcijańskich, prawda bowiem jest rzekomo niewyrażalna w terminach ludzkich i nie da się nigdy określić pojęciami jednoznacznie adekwatnymi. To też można ją wyrażać za pośrednictwem wszelkich filozofii, łącznie z imanentyzmem, idealizmem, egzystencjalizmem, materializmem historycznym i dialektycznym, w terminach nawet sprzecznych, ale równoznacznych...

Przeżywamy znów okres wzmożonej ślepej wiary, jakiś nowy romantyzm, jak ów historyczny po okresie racjonalistycznego oświecenia, tylko że jeszcze bardziej filozoficznie i teologicznie chwiejny. To rozpowszechnienie wiary po przestrzeniach świata jest owocem wszelkich fałszywych mistyk, na które chorujemy od końca pierwszej wojny światowej, fałszywych mistyk, z komunizmem na czele, które wszedłszy w pustkę po racjonalizmie, odpowiedziały uniwersalnemu głodowi wierzenia „w coś", głodowi wiary silnej, przyprawiającej o zawrót głowy, wiary ślepej i bezkrytycznej. Jeśli powszechny prąd porwał nawet wielu filozofów i teologów katolickich, nic dziwnego, że niesie na swych czarnych skrzydłach masy ludzkie, skłonne dziś wierzyć w każdą rzecz i ideę, zdającą się wyrywać człowieka z tego, co jest, ku temu, co ma być.

Wiadomo z opowiadań żołnierzy sowieckich, że ta sama wiara w zjawiska nadprzyrodzone i głód rzeczy nadzwyczajnych, są, a przynajmniej były, z końcem wojny i na terenie Rosji. Dlatego też głos przestrogi dla katolików był konieczny. I na tym tle wystąpienie msgr. Ottaviani ma swoją dodatkową wymowę, jako, jakby, dopełnienie dla szerokich rzesz tego, co encyklika „Humani Generis" w daleko głębszych, bardziej zasadniczych i rozleglejszych wymiarach mówiła uczonym, profesorom i instytutom naukowym.

Katolicy zostali wezwani do rozsądku i roztropności. Nie chodzi rzeczywiście o wpadanie w drugą skrajność: w całkowitą nieufność względem wszelkiej możliwości „znaków" nadprzyrodzonych. Chodzi jednak o zdrowy krytycyzm, o wagę i powagę rozumu. Opinię Kościoła w tych sprawach w pełni Wyraża św. Alfons Liguori: **„W przeważającej ilości widzenia lub objawienia są fałszywe i kłamliwe".** Tylko powołane władze Kościoła mają tu autorytet orzekania.

— Św. Jan nakazując nie każdemu duchowi wierzyć i badać, czy z Boga jest, dodaje: „bo wielu fałszywych proroków wyszło na świat". Słowa to równie aktualne dziś jak przed dziewiętnastu wiekami.

Jan Tokarski

*) **Petite Histoire des grandes doctrines économiques. Presse Univesitaire de France, 1944.**

MSZA ŚWIĘTA ARTYSTÓW

Za wzorem Rzymu, Paryża, Brukseli, Barcelony, Madrytu, Leodium, Londynu, Tunisu i około 50 innych wielkich miast świata odbyła się we Środę Popielcową w Dublinie Msza św. artystów, zapoczątkowana w roku 1914 przez słynnego rysownika francuskiego Adolfa Willette, który też ułożył specjalną ‚modlitwę artystów', modlących się, abyśmy „nigdy słowem, czynem albo gestem nie urazili jakiejkolwiek duszy ani nie zhańbili naszego powołania". W czasie Mszy św. artyści modlą się „za tych spośród nas, którzy mają umrzeć tego roku."

Pierwotnie, w Paryżu, odbywała się Msza św., każdego roku w dzień zaduszny w intencji tych, którzy zmarli. Jednakowoż Willette zaproponował, aby zbierać się na Mszę również co roku w Środę Popielcową, co nastąpiło dopiero w 1926, roku jego śmierci, kiedy to zebrali się w kościele St. Germain przedstawiciele sztuk, jak aktorzy, architekci, muzycy, malarze, poeci, rzeźbiarze, śpiewacy i pisarze. Stało się tradycją, że w czasie Mszy św. jeden z grona odczytuje wspomnianą modlitwę, ułożoną przez Willette'a. — W Dublinie nastąpiło to po Mszy św. przed bramą kościoła.

JAN BIELATOWICZ

„NIE PRZEKROCZĘ TEJ NOCY"

(Kilka uwag o współczesnej poezji)

Nie przekroczę tej nocy,
Ciemność jest twarda
I zegar zmęczony i senny.
Zapalcie u progu
Zorzę pomocy,
Swiecznik dziewięcioramienny.

Kazimierz Wierzyński „Muzy"
(Z tomu „KORZEC MAKU")

UPOWSZECHNIENIE kultury i sztuki stało się przyczyną, iż ludzkość wprzęgając je w swoje życie codzienne, przestała uważać kulturę za kulturę a sztukę za sztukę. Człowiek noszący medalik na szyi i pierścień na palcu nie pamięta o tym, że ma je przy sobie. Ludzie zwykli za kulturę i za sztukę uważać tylko to, co jeszcze nie stało się ich własnością, co jeszcze nie zostało przez nich przyswojone. Czujność względnie opór wobec sztuki zjawiają się jedynie wtedy, kiedy sztuka niesie ze sobą elementy nowości.

Ogromna większość ludzi nie zdaje sobie sprawy z tego, jak wiele zawdzięcza poezji, jak dalece żyje ideałami poezji i jak się ustawicznie poezją w życiu codziennym posługuje. Poezją bowiem jest cała ludzka mowa.

Jest sprawą najzupełniej zrozumiałą, że nie wszystkie nauki i sztuki są dla wszystkich. Sens i urok życia polegają m.in. na tym, że ludzie są różni, że wiedzą różne rzeczy i różnymi sprawami się zajmują. Iluż ludzi na świecie zna dziś problemy matematyki filozoficznej albo produkcji atomowej? A jednak byłoby dziecinną przekorą uważać, iż dla przeciętnego człowieka tak wiedza matematyczna, jak i technika atomowa są obojętne. Wcześniej czy później, w takiej czy innej formie dotrze bowiem do szarego człowieka i matematyka filozoficzna i technika atomowa. Nie są to więc gałęzie ludzkiej twórczości obojętne, małoważne, lecz tylko nie każdy człowiek jest zdolny, aby się nimi bliżej zająć.

Tak samo jest ze sztuką. Znaczenie poezji nie może być dla nikogo z ludzi obojętne, chociaż niezbyt wielu ludzi jest zdolnych zrozumieć jej współczesne treści, formy i problemy. Ale sens jej dociekania jest taki sam, jak sens dociekania wszystkiego, co dotyczy człowieka, po prostu jak sens życia. Nie udało się i nie uda nikomu ustalić kolejki ludzkich potrzeb i ludzkich tęsknot: która z nich ważniejsza a która mniej ważna. Reguły takie układać można conajwyżej dla siebie samego, na pewien czas i w pewnych warunkach.

Gorliwość popularyzatorska sprawia zawsze wiele zamieszania, niepokoju i wręcz szkód. Odnosi się to szczególnie do sztuki. Ponieważ w dalszym ciągu tego szkicu mówić będziemy o poezji, porzućmy już tu ogólnik sztuka, zwężając ją do poezji. Popularyzacja zatem przyniosła poezji polskiej mnóstwo szkód. Niestety bowiem hasłami jej bardziej przejęli się poeci, niż czytelnicy. Dlatego też bez większej przesady można stwierdzić, że współczesna polska poezja poza kilku wyjątkami jest niedorozwinięta.

Z góry trzeba sobie powiedzieć, że niewielkie zainteresowanie się poezją o niczym złym nie świadczy. Jak świat długi i szeroki, nigdzie dziś — poza może prymitywnymi plemionami i narodami — nie ma zainteresowania poezją. Karmienie szerokich rzesz poezją podobne jest do karmienia siłą sytego dziecka. Poezja przestała być sztuką dla mas i narazie nie widać dla niej drogi odwrotu. Równocześnie jednak przed poezją otwarły się dalekie horyzonty, które twórców skazują wprawdzie na samotność, ale też mogą ich wynagrodzić wspaniałymi widokami i cennymi odkryciami.

W jednym z najlepszych w języku polskim szkiców o poezji p.t. „Materia poetica" Karol Irzykowski pisze: „Życie jest tak na wszystkie strony, we wszystkich przekrojach i komórkach naukowe, że wymaga wciąż nowych lotów intuicji — a kto ich nie ma, niech by się przynajmniej stosował do tego, co już jest odkryte i ustalone. Poezja? Poezja jest w radosnym patosie odkrycia, który udziela się także świadkom." „Są na mapie życia ludzkiego wielkie obszary spraw, które jako jeszcze nie ujęte przez naukę, muszą być, przynajmniej tymczasem, stwierdzone i przechowane przez sztukę." Te właśnie obszary nazywa Irzykowski „materia poetica".

Każdy niemal krytyk i każdy poeta głowi się nad zagadnieniem: „Co to jest poezja?" T.S. Eliot, najlepszy z żyjących znawca poezji, wraca także w swych szkicach nieustannie do tego pytania, chociaż w jednej ze swych prac wyraził takie zdanie: „Krytyka nigdy nie ustala, czym jest poezja, w sensie zbliżonej i właściwej definicji, ale ja nie wiem, jaki byłby użytek z tej definicji, nawet gdyby została wymyślona." („The use of poetry and the use of criticism").

To że się poezji nie da zdefiniować jest niewątpliwie jej siłą, jej znakiem dodatnim. Jakże tu zresztą definiować poezję bez przymiotnika? Poezja nie jest jedna. Poezyj jest wiele. Poezja poza tym jest zjawiskiem, które ciągle staje się, trwa, rośnie, żyje, przeobraża się. Jeśliby zatem miał być jakiś użytek z pytania ,to nie z tego: „Co to jest poezja?", lecz z tego: „Czym poezja będzie?" Poezja, jak nauka, musi żyć z ciągłą myślą o przyszłości, zaglądać w przyszłość. Poezja, to jest sztuka wizji. Dlatego więc przede wszystkim poezja nie da się ująć w ramy definicji, ponieważ widoczny jest tylko jej brzeg jeden: przeszłość, a nie widać drugiego i wiele ważniejszego: przyszłości.

Nie należy przy tym wszystkim sądzić, że poezja jest jakimś wieszczbiarstwem czy magią. Broń, Boże! Wszelka magia — jak to zauważył bystry krytyk Stefan Lichański — jest ucieczką od kultury. „Wobec żadnego typu literatury — pisze on — nie powinien krytyk być tak czujny i ostrożny, jak wobec literatury mistykującej i metafizykującej. W każdej formie laickiej mistyki i pozanaukowego filozofowania mamy prawo podejrzewać magię, a więc bunt przeciw kulturze." („Historia, metafizyka i magia" — „Twórczość" z. 1 rok V).

Miejsce poezji, jak i każdej w ogóle literatury, jest w świecie realnym. Nie można zaprzeczyć, że w poglądzie na rolę sztuki w życiu krytyka marksistowska wywarła w naszych czasach wpływ wcale korzystny, gubiąc się dopiero w postulowaniu ideologicznym. Marksiści zakładają, że „doznanie estetyczne jest tylko swoistą odmianą przeżycia poznawczego; w doznaniu tym rzeczywistość postrzegana jest obrazowo, ale niemniej intelektualnie." (Stefan Morawski „Dlaczego dzieło powinno być realistyczne?" „Twórczość" z. 11 r. V). Twórca przyswaja sobie świat realny i po swojemu go interpretuje. Marksizm podkreśla, że dzieło sztuki powinno być nasycone ideologiczną treścią, powinno coś znaczyć ,a jego sens winien odpowiadać określonej, historycznej współczesności. Odkrywając obiektywne prawidłowości w świecie ,dzieło sztuki staje się czytelne dla otoczenia. Z punktu widzenia marksistowskiej teorii poznania nie istnieje podwójne widzenie świata: naukowe (lepsze) i estetyczne (gorsze). „Metoda artystyczna — w inny jedynie sposób — podchodzi do tej samej, społecznej rzeczywistości." (Op. cit.)

Nie tu miejsce rozprawiać się z estetycznym „realizmem" marksistowskim, który wychodząc ze słusznych tez początkowych, wikła się w najwulgarniejszy z idealizmów, który możnaby nazwać idealizmem państwa, partii, względnie dyktatury.

Estetyka katolicka ciągle jeszcze nie wyciągnęła należytych wniosków z chrześcijańskiego realizmu w poglądzie na świat. Estetycy i krytycy chrześcijańscy przypisują bardzo nieraz fantastyczne siły i rolę sztuce, zapominając o podstawowych prawdach, iż wszelkie poznanie zaczyna się od zmysłów, że istnieje tylko jedna prawda i jedna rzeczywistość i że świat Boży składa się z konkretnych, substancjalnych bytów. Łaska twórczości artystycznej ,jak w ogóle łaska życia i wszelkiego działania, nie polega na łasce bezpośredniego doświadczenia Boga, czyli na łasce dotykania i widzenia spraw dla człowieka śmiertelnego zasłoniętych, o ile nie mieszczą się one w granicach Objawienia. Nikt bardziej od chrześcijanina nie powinien być ostrożniejszy wobec metafizyki, stanów mistycznych, intuicjonizmu i „natchnienia" (co zresztą zgoła nie wyklucza możliwości przejawów porządku nadprzyrodzonego).

Z realizmu chrześcijańskiego nie należy wyciągać zbyt pochopnych wniosków. Realizm wyznacza tylko drogi poznania świata rzeczywistego i zakreśla jego granice. W naszym przypadku porządkuje drogi twórczości artystycznej i ustala jej przedmiot. Ale poznanie i droga, to jeszcze nie cel. To tylko środki, metoda. Każdy chrześcijanin jednak wie względnie wiedzieć powinien, że „Bóg jest bardziej rzeczywisty od człowieka, bardziej rzeczywisty nawet, niż materia, gdyż Bóg z całą swoją wszechmocą w każdej chwili jest nieśmiertelnością w czynie". (Zdanie z książki G.K. Chestertona „Św. Tomasz z Akwinu".) Wie też, że „istnienie istnieje, ale nie jest dostatecznie samowystarczalne i nigdy się takim nie stanie przez samo swoje trwanie." (Ibid.)

Celem człowieka jest szukanie Boga i dążenie do Boga. Dla chrześcijanina jest oczywiste, że Boga na ziemi szukać można po dwu stronach tej samej drogi: przez poznanie i doznanie Jego dzieł oraz przez zachowywanie Jego objawionych przykazań. Doznawać (zmysłami) i poznawać (rozumem) można tylko w oparciu o zachowywanie przykazań, zachowywać zaś przykazania można tylko doznając i poznając. Toteż słuszne jest zdanie St. Brzozowskiego: „Etyka jest podstawową nauką całej dziedziny nauk duchowych i kulturalnych. Specjalnie zaś wszystkie zagadnienia estetyki i krytyki są w ostatecznym wyniku analizy pewną niezmiernie ciekawą postacią zagadnień etycznych. Powiedziałbym, że w zagadnieniach kompozycji właściwie estetycznej i bardziej ogólnie mówiąc w twórczości wypowiada się najsubtelniej i najściślej nasza istota moralna. („Współczesna powieść polska").

Rozważania o podłożu moralnym sztuki tylko pozornie oddalają nas od zagadnień poezji współczesnej. Są one bowiem jednym z jej fundamentów i najważniejszą z treści. Zatem warto jeszcze wyjaśnić, iż moralność w sztuce nie jest żadną tam moralnością specjalną, tak jak zresztą nie istnieje żadna moralność w oderwaniu od religii. Pogląd taki w świecie dzisiejszym głosi filozof Bertrand Russell. Pogląd ów poddaje krytyce T.S. Eliot w „Thoughts after Lambeth" (w zbiorze „Selected essays" 1932): „Jestem pewien w głębi swego przekonania, że nie przyjąłem wiary po to, by obwarować swoje zasady postępowania, lecz właśnie dostosowałem swoje zasady postępowania do tego, co mi się wydaje wyrazem wiary. Istotny konflikt zachodzi nie między jednym systemem moralnym a drugim, lecz między teistyczną i ateistyczną wiarą."

O związku estetyki z etyką pisał w Polsce m.in. Stefan Szuman, dochodząc do następującego wniosku: „Sfera estetyczna nie istnieje w odosobnieniu od innych sfer ducha, a żywioł piękna nie jest samowystarczalny... Nie ma piękna, które by nie było czymś tylko wtórnym w stosunku do prawd jeszcze głębszych." „Sfera estetyczna nie wytwarza własnej odrębnej etyki, lecz jest współpracowniczką na polu etyki." („Wstęp zasadniczy do zagadnień wychowania estetycznego" — „Marchołt" nr. 3(11)).

Stefan Szuman, znakomity pedagog i estetyk, napisał w czasie ostatniej wojny, na wsi i bez dostępu do bibliotek, bardzo pożyteczne dzieło „O kunszcie i istocie poezji lirycznej' (wyd. Poligrafika, Toruń 1948). Autor przeprowadził próbę opisu treści poezji oraz odbicia jej w formie. Za punkt orientacyjny przyjął R. Ingardena teorię warstwowej budowy i polifonii dzieła poetyckiego. Wedle obu, różniących się tylko w szczegółach, estetyków polskich utwór poetycki składa się z szeregu warstw, a mianowicie z:

1) warstwy brzmień słownych
2) warstwy znaczeń
3) warstwy przedmiotów przedstawionych
4) warstwy wyglądów tych przedmiotów.

Elementy te konkretyzują się w głąb, t.j. nabierają znaczenie oglądowości, pseudo-realności. Wiersz równocześnie czytamy, słyszymy, rozumiemy, widzimy i wyobrażamy sobie.

Kompozycja poezji uwarunkowana jest ładem apercepcyjnym i ładem estetycznym, przyczem ład pierwszy jest warunkiem drugiego. „Prawdziwa poezja — pisze Szuman („O kunszcie") — nie poniża sensu, lecz tworzy nowy sens, m. in. też nową konfiguracją tekstu. W dobrej poezji „sens" bynajmniej nie znika, ani się też nie wypacza, ale na tle nowej konfiguracji tekstu powstaje nowy sens, nowa rzeczywistość sensu, sens głębszy, sens nigdy jeszcze w ten sposób nie wyrażany."

Poeta — twierdzi Szuman — musi posiadać świadomość, iż dzieło jego wywiera estetyczny i pozaestetyczny wpływ, kształtujący społeczeństwo. „Jest rzeczą jasną, że każdy pisarz, mimo że ,śpiewa sobie a muzom', gorąco pragnie, by go czytano, ale ponadto jeszcze gorąco pragnie, by go rozumiano, by się przejęto jego dziełem, by jego dzieło pisarskie dostało się do rąk wielu ludzi. Poeta chce nie tylko, by te utwory radowały jego czytelników i by im smakowały i im życie urozmaicały i rozświetlały, ale on pragnie, jeżeli jest naprawdę artystą, by kształtowały i urabiały, gdzieś u samych podstaw i w samej najgłębszej istocie, osobowość tych ludzi, którzy będą obcowali estetycznie z jego dziełami."

Tak jest niewątpliwie w odniesieniu do prawdziwej poezji, ale nie brak dziś także pomniejszej rangi poetów, których programem jest pytyjski bełkot, samozłuda werbalna, świadomy iluzjonizm własnego chowu i inne sztuczki podwórkowych kuglarzy. Ta gadanina przede wszystkim jest odpowiedzialna za odwrócenie się od poezji dotychczasowych jej miłośników. Przytem zauważyć trzeba, iż najgorsi partacze najwięcej mówią: tak samo krawcy, jak i poeci. Zdumiewająca rzecz, jak wiele potrzebuje gadać „modernistyczne" malarstwo i „awangardowa" poezja. Odnosi się wrażenie, że cała ich wartość polega na zagadaniu odbiorcy. Wielcy mistrzowie pracowali w milczeniu, mówili tylko przez swoje dzieła. Znaczna część sztuki dzisiejszej zagadała na śmierć sztukę prawdziwą.

Zdaje się, że nauki humanistyczne w naszej epoce zostały daleko w tyle za przyrodniczymi. Przyrodnicze poszły milowymi krokami do przodu i otrząsnęły się naogół z przesądów, uroków i magii. Nauki humanistyczne nadal znajdują przyjemność w brodzeniu we mgle, sentymentaliźmie i nieścisłości. Ulubioną metodą humanistów jest wypożyczanie rekwizytów z pokoju do pokoju, określanie różnych gatunków tymi samymi kryteriami, eklektyzm wartości i gmatwanina metod. Współczesna krytyka sztuk przypomina dom obłąkanych: wszyscy mówią o wszystkim i różnymi językami. Szczególnie jaskrawym przypadkiem jest koncepcja jednorodności sztuk. Poetom wmówiono, że powinni znać się na muzyce, malarzom, iż powinni smakować w poezji, muzykom, żeby kosztowali malarstwa: czysta wieża Babel! Głusi poeci biegają na koncerty, malarze plotą głupstwa o literaturze, a najwięcej trzeźwości zachowują jeszcze muzycy. Wszystkiemu temu przyklaskuje w takt przedziwnej sarabandy krytyka, przeważnie równie głucha i równie ślepa. Wielcy twórcy nie miewali nigdy takich ambicji, chyba że byli wszechstronnymi geniuszami, jak Leonardo, jak Wagner, jak Wyspiański.

Rzecz jasna, iż nie o to idzie, aby poeci nie chodzili na koncerty i wystawy plastyki. Bardzo dobrze, że chodzą. Byle tylko pilnowali swoich warsztatów ,a, zwłaszcza byle nie mieszali języków. Ale właśnie, że mieszają, podobnie jak miesza je krytyka. Znaczna część współczesnej poezji jest beznadziejną gonitwą za złudą muzyki lub malarstwa.

Pożyteczna książka o liryce Stefana Szumana trzyma się tradycyjnie błędnej drogi. Wedle Szumana poezja jest równocześnie 1) muzyką, 2) malarstwem, 3) architekturą i 4) tańcem. Docieramy tu do pierwszej wielkiej omyłki poezji i krytyki, do pierwszej sieci, z której uwikłana poezja nie może się wyrwać, aby pójść swoją własną drogą.

Poezja nie jest ani muzyką ani malarstwem ani architekturą ani tańcem ani żadną inną rzeczą. Jest tylko poezją. Rozwój sztuk może odbywać się tylko na ich drodze naturalnej, nieskrępowanej, niezakłamanej i oczyszczonej z fałszywych pojęć i kryteriów. Każdy byt na świecie podobny jest w jakiś sposób do innego bytu przez fakt, że jest bytem. Każde zjawisko podobne jest do drugiego, przez sam fakt zjawiska. Wolno porównywać poezję do muzyki i tańca, ale do czegóż nie wolno by jej porównać? Czy powiedzmy poezji nie możnaby porównać n.p. do medycyny (środki kojące) albo do chemii (pierwiastki, mieszaniny i związki, poezja organiczna i nieorganiczna) albo do astronomii (ciała stałe i mgławice) itd. itd.?

Poezję należy sprowadzić do jej istoty, do jej właściwości i jej roli, jeśli poezja ma być twórczą i jeśli ma w polifonii świata rozbrzmiewać własnym tonem.

Poezja jest sztuką słowa. Wszelkie teorie i badania poezji muszą być równocześnie teoriami i badaniami języka. Poeci i krytycy literaccy powinni zaczynać od gramatyki i słowników własnego języka. Jak dotąd, brak jest nie tylko w polskiej ,ale i w światowej literaturze rozpraw o filozofii języka. Być może, że w przyszłości powstanie taki dział filozofii. Język jako twór duchowy najszczelniej przystaje do duszy ludzkiej i z wieloma problemami życia jest mocno spleciony. Język może się stać kluczem do niejednej tajemnicy. Język sam w sobie

jest poezją. Nie ma osobnego języka poetyckiego. Każdy język jest poetycki. Jest to w każdym razie najdoskonalszy i najdziwniejszy twór ludzki, podlegający niezbadanym prawom zmian i odmian a zarazem powszechności.

Mowa nasza jest jak ogromny instrument. Naciśnięty jego klawisz czy potrącona struna nie odpowiada tonem, lecz znaczeniem, względnie strugą znaczeń. Poezja jest szukaniem właściwych strun języka.

Ale język jest tworzywem innych jeszcze rodzajów literackich i oratorskich. Poezji potrzebny jest jako jej pierwszy warunek — rytm. Rytm jest sercem każdej poezji. Język jest jej ciałem. W przesadnie żarliwym i namiętnym „Traktacie o poezji" (w tomiku „Łąka" Stow. Pisarzy Polskich w Londynie, 1947) Bolesław Leśmian broni nienaruszalności rytmu w poezji: „Na ruinie rytmu trudno poezji ołtarz budować."

Niepodobna wybiec i wyjrzeć poza epokę i przewidzieć, jaka będzie poezja za lat sto, kiedy nasze gusty i smaki doszczętnie wystygną, ale dzisiaj rytm jest uważany za niezbędny warunek poezji. Eliot w zakończeniu zbioru rozpraw „O użytku poezji" powraca jeszcze raz do pytania: „Co to jest poezja?", jakby w skrupule, że nie dał odpowiedzi na to pytanie. I oto wytrawny znawca potrafi rzec tylko tyle: „Śmiem powiedzieć, że poezja zaczyna się z dzikim werblem na bębnach w dżungli i zachowuje stale ów pierwiastek perkusji i rytmu... Dostrzegam różnorodność poezji, tak znaczną, że wszystkie jej rodzaje wydają się nie mieć ze sobą nic wspólnego poza rytmem wiersza..."

Rytm jest pierwszym elementem poezji. Rytm to też i wszystko, co poezja ma wspólnego z muzyką. Muzyka jest sztuką beztreściową, formalną, a poezja musi posiadać jakieś znaczenie, treść. Ale i rytm oprócz poezji i muzyki występuje w znacznej ilości zjawisk życia, jeśli nie we wszystkich: w przyrodzie, w mechanice, ludzkich czynnościach itd. Świat jest nabrzmiały rytmiką. Prawa natury są rytmiczne.

Znając dwa elementy poezji, możnaby się już pokusić o jakąś ułamkową, niedoskonałą jej definicję. Będzie to chyba rytmiczna wypowiedź, wizja wypowiedziana w sposób rytmiczny, rytmiczna kompozycja znaczeń. Niewątpliwie „znaczeń", choć w sposób poetycki pojętych i ujętych.

We wszystkich historycznych poetykach mówiło się o „pięknym języku". Poeci i estetycy współcześni są zdania, że poezji trzeba przywrócić język codzienny, prosty, komunikatywny. (Twierdzenie to wysuwa i praktycznie realizuje przede wszystkim T.S. Eliot, a w poetyce polskiej Czesław Miłosz i Roman Bratny.) Ale przecież język jest instrumentem, z którego można wydobyć każdy ton. Dobór zależy tylko od potrzeb i celów twórcy. Poezji nie powinno się zalecać ani pięknego ani pospolitego języka. Rzecz poezji, jaką chce być. Jej język powinien być przekonywujący.

W traktacie, pisanym w czasie wojny na Nowej Gwinei, wybitny poeta i żołnierz amerykański, Karl Shapiro, poddaje krytyce język współczesnej poezji:

Rzecz się sprowadza do języka. Dawniej
Miał wiersz retorykę od prozy różną.
Teatr agorą nie był i na odwrót.
Nawet prostaczek patrzący na scenę
Tragedii mieszać nie zwykł był z historią.
Choć mogła głowę autora kosztować
Zjadliwa oda, jednak zostawała
W ramach języka. Nie była satyra
Rewolwerowym zwykłym oskarżeniem,
Nawet nienawiść szła zwykle przez filtr:
Skórę gramatyki. Tym gorzej dla nas,
Których poeci imają się wszelkich
Środków wyrazu i roją się tłumem
Poprzez Rubikon, który sztukę dzieli
I aktualność. Piszą dokumenty
Tej nowej trójcy, to jest: Socjologii,
Psychoanalizy i Ekonomii.
Cytować w wierszu jest dziś obyczajem,
Jakby poezja żądała powagi
Laboratoriów i ostatnich nowin
Z pól bitew albo poparcia większości.

(Fragment ów, z „Essay on rime", wyjęty jest ze świetnego szkicu Czesława Miłosza o nowoczesnej poezji amerykańskiej p.t. „Wprowadzenie w Amerykanów" — „Twórczość" z. 5 r. IV. Przekład jest dokonany przez autora.)

Poezja odbyła w swej historii drogę tak daleką, iż wydaje się jakby dotarła do kresu możliwości, do „nocy, której nie przekroczy". Stało się tak skutkiem wspaniałego rozwoju tej sztuki, ale i skutkiem lekkomyślności poetów. Poezja dotarła do swej Ściany Płaczu i depce w miejscu. Najpiękniejsze wiersze już zostały napisane. Poeci za żadne skarby nie chcą powrotu, nie chcą powtarzania ni naśladowania. Wyparli się w ciągu wieków eposu, dramatu, wyparli się opowieści. Lecąc na dumnych skrzydłach ku słońcu wyzwolonego z ciała piękna, zrzucali balast słów i treści, pozostając tylko przy skrzydłach liryki. Poezja sterowała ku „poezji czystej", mowie nieartykułowanej, ku niematerialnym dźwiękom, aż się znalazła na granicy milczenia. Spadkobierczynią masy upadłościowej poezji stała się wszechwładna proza.

Poezja ma dziś dwie drogi; wkroczyła już na obie, z wyjątkiem poetów polskich, tłukących z goryczą głowami o liryczne ściany. Jedną z tych dróg jest liryka myśli, drugą szeroki gościniec ku prozie. Poeci angielscy i amerykańscy, a zwłaszcza Eliot, dokonali odważnej próby zastosowania instrumentu poezji do abstrakcyjnego myślenia, do filozoficznej rozprawy. Eliot żartobliwie zaleca poetom zachować w wierszach tylko przynętę dla psa, którą wędrowny sztukmistrz usypia czujność zwierzęcia, aby móc pokazać swe sztuki na podwórku („Conclusion" w „The use of poetry"). Eliot dokonał rzeczy nielada: wzbudził powszechny szacunek dla poezji powszechnie niezrozumiałej i od której interpretacji sam się usunął. Poezja ta jest rzeczywiście godna najwyższego szacunku. Stoi poza nią głębia wiedzy, filozoficzna dojrzałość i moralna odpowiedzialność. Każdy wiersz jest skrótem wieloletnich studiów z wielu dziedzin. Całą twórczość poetycką Eliota można zamknąć w niedużym tomiku (nie licząc dramatów). Ale te skróty, to właśnie istota nowej, Eliotowskiej poezji: są to esencje myśli filozoficznych, teologicznych i moralnych. Bije od tej poezji blask myśli. Każda strofa jest dziełem sztuki innego stylu. Eliot nie dba o to, że rozumiany jest tylko przez garstkę czytelników. „Jeżeli — pisze — poezja jest formą ‚porozumienia' (communication), to wszystkim co poeta ma do zakomunikowania jest sam wiersz a tylko przypadkiem to, co w nim jest doświadczeniem i myślą. Istnienie wiersza mieści się gdzieś między pisarzem a czytelnikiem; wiersz nie jest prostą rzeczywistością, jaką autor pragnął wyrazić ani jego doświadczeniem ani doświadczeniem czytelnika ani doświadczeniem pisarza jako czytelnika." Wiersz nie jest nigdy dokładnie tym, co planował autor ani tym, co zeń pojmuje czytelnik, a jego znaczenie nigdy nie ogranicza się do tego, co w nim dostrzega autor. Wiersz powstając budzi zachwyt estetyczny, który porywa twórcę, obojętnego w takiej chwili na to, jak będzie jego wiersz rozumiany i jaki będzie zeń użytek. W każdym razie — podkreśla Eliot — nie ulega wątpliwości, iż „poeta pragnie dać przyjemność, zabawić czy rozerwać ludzi". Nie wszyscy ludzie jednak posiadają gust jednaki. Poeta mniej dba o to, by wejść w styl aktualnie popularny, lecz stara się stworzyć rodzaj, który popularność dopiero zdobędzie.

Tęsknota do liryki myśli nieobca jest także i polskiej literaturze. Warto tu zwłaszcza przypomnieć Zygmunta Łempickiego. „Każda prawdziwa poezja jest filozofią" — pisał on w rozprawie „Literatura, poezja. życie" („Marchołt" nr. 2 (6)). „W tłumaczeniu, t. j. interpretowaniu świata i życia idzie poezja po tych samych drogach, co filozofia. Zmierza ku tym samym celom, ale rozwiązuje te zagadnienia poetycznie, twórczo. Ma ręce wolne. Nie ma żadnych zobowiązań racjonalnych. Jej odpowiedzialność jest zupełnie innego rodzaju, niż odpowiedzialność nauki lub też tej t. zw. nauki nauk, t.j. filozofii. Miarodajnym czynnikiem dla oceny jej prawdopodobieństwa jest nie wzgląd zewnętrzny a więc konfrontacja z rzeczywistością, ale wzgląd wewnętrzny, prawdopodobieństwo wewnętrzne, pewna wewnętrzna konsekwencja, ład i umiar."

Ku skierowaniu poezji ku celom intelektualno-filozoficznym zdaje się skłaniać Juljusz Kleiner, który niedawno nazwał lirykę „poezją ponadindywidualnego świata intelektualnego, poezją myśli" („Rola podmiotu mówiącego" — „Twórczość" z. 1 r. III). Przypomina się też zdanie K. Irzykowskiego, że dzieło nie jest poto, żeby wyobraźnię potrącać, lecz poto, żeby ją podniecać i funkcję jej ułatwiać." („Materia poetica").

Ze wszystkiego, co dotąd powiedzieliśmy, wynika, że poezja powinna wedle powszechnych tęsknot i dążeń naszej epoki zmierzać ku realizmowi filozoficznemu. Poezja powinna porzucić szańce „uczucia" i przenieść się na stronę myśli, rozumu. To jest jej ostatnia i niezmiernie trudna linia obrony. Jeśli ma być metafizyczną, to jedynie w oparciu o filozofię wieczystą. Jak to ma czynić — to nie podlega żadnym prawom ani normom. Sztuka jest wolna w granicach ludzkiej wolności. Możnaby conajwyżej zająć się zagadnieniem, co czynić powinna sztuka, aby była społecznie pożyteczna. Narzucanie wszakże zadań i roli społecznej sztuce przeczyłoby wolności sztuki. Sztuka musi iść przed społeczeństwem, nie za nim. Sztuka — biorąc rzecz powierzchownie i pozornie — nie jest konieczną częścią składową życia, lecz jego ozdobą. Jej zadaniem jest tworzyć i odkrywać, a nie służyć na codzień.

Czy na swej ostatniej linii poezja będzie się długo bronić przed prozą, trudno ustalić. Nie ulega w każdym razie wątpliwości, że dla wyrażania myśli proza posiada instrumenty o wiele doskonalsze. Poezję zaś mało kto czyta dlatego, że mądra. Od poezji wymaga się, żeby była piękna.

Ale to jest tylko historia i tradycja. To nie są bojowe pozycje poezji. A jednak i to jest droga. Droga w przeszłość, w klasycyzm. Władztwo nad duszami poezja może zdobyć albo olśniewającymi zdobyczami w dziedzinie myśli spekulatywnej albo powrotem do klasycyzmu.

Wspaniałą pozycją poezji klasycznej jest wydany właśnie przez Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas" tom wierszy Kazimierza Wierzyńskiego p.t. „Korzec maku". To nie jest poezja awangardowa, programowa ani spekulatywna. To jest poezja piękna. Jest to bodaj najwybitniejszy tom poezji polskiej, jaki się pojawił na obczyźnie po roku 1939.

Kazimierz Wierzyński, to pełnej krwi klasyk. Poeta, żyjący samotnie, w zagubionych lasach amerykańskich, jednak ludziom najbliższy, bo najgłębiej ludzki. Poezja ta płynie prosto z serca, ale jest żywicą najprawdziwszej filozofii. Wierzyński w swej poezji nie szuka, lecz znajduje. Znajduje bursztyny na piasku wybrzeża, jak samotny wędrowiec, który przyszedł tam spojrzeć na błękit fal. Jest to poeta słowa, odkrywca słowa, artysta słowa. Zna struny na instrumencie polskiej mowy, o jakich nie śniło się filozofom, zna ich półtony, zna tajemnice akordów, wie jakie ze słów wywołać lawiny uczuć i myśli.

Słowa są jak nuty
Spłoszone w ptasiej rozsypce
I nic nie znaczą
Prócz dźwięku,
Jeśli ponad miłością,
Jeśli ponad rozpaczą
Nie zagrają jak skrzypce
W mym ręku.

(K. Wierzyński „Postscriptum")

Jan Bielatowicz

MARIAN BOHUSZ SZYSZKO

SZKOŁA PARYSKA W ROYAL ACADEMY

WSZYSTKIE artykuły i recenzje w prasie angielskiej, odnoszące się do wystawy l'Ecole de Paris w salach Burlington House przy Piccadilly, zaczynają się od głębokiego dygu w stronę dyrekcji Royal Academy, która dała tak świetny dowód swojej lojalności, bezstronności i poczucia racji pedagogicznej, wprowadzając wilka do owczarni — Szkołę Paryską (czytaj Europejską) do sali, pachnącej myszką wiktoriańską. Istotnie: myśl o skonfrontowaniu dokonań w malarstwie ostatniego półwiecza z najświetniejszymi realizacjami sztuki europejskiej w ogóle, jakie na pewno reprezentuje nieporównana wystawa Holbeina i dzieł Leonarda, Rafaela, Michała Anioła, Tycjana, Tintoretta, Giorgiona, Rubensa..., mieszcząca się w sąsiednich salach tejże Królewskiej Akademii — jest myślą świetną. Kapitalny też jest drugi aspekt wystawy Szkoły Paryskiej: porównawcze przeciwstawienia jej temu, co się w tych salach Royal Academy oglądać zwykło...

Otóż, wbrew opinii, ośmielam się stwierdzić, że doskonały, godny najwyższego uznania pomysł — został w wykonaniu spaczony i może spowodować efekt wręcz przeciwny do oczekiwanego przez zwolenników świeżych powiewów w zatęchłych salach Royal Academy.

Bo przecież, jeśli się pokazuje dokonania współczesnej sztuki, przeciwstawiając je najświetniejszym realizacjom wieków ubiegłych — należy pokazać dzieła, które równie świetnie reprezentują największych artystów współczesnych. Istotnie, prawie wszystkie znaczące nazwiska, które budowały wizję ostatnich lat pięćdziesięciu w malarstwie (z wyjątkiem Picassa) są na tej wystawie, ale są one często reprezentowane przez dzieła dobrane zupełnie przypadkowo, a czasem wręcz przez odpadki z twórczego warsztatu.

Rzetelny znawca malarstwa znajdzie oczywiście na tej wystawie cudne perły wśród szkiełek, ziarna wśród plew, zatrzyma się tylko przed perłami, pożywi tylko ziarnami, i, szczęśliwy, wzbogacony, pójdzie do domu; laik lub człowiek tylko powierzchownie obeznany z dokonaniami w malarstwie współczesnym, wyjdzie z tej wystawy raczej zdezorientowany. Przede wszystkim zestawienie tej wystawy z wspaniałością sal holbeinowskich nasunie mu przypuszczenie, że dokonania współczesne w malarstwie są tylko chaotycznymi eksperymentami, wprost nędznymi w porównaniu z tym, co pokazują sale na lewo od wejścia.

W aktualnym zestawieniu, Holbein i jego wielcy towarzysze z przyległych sal zdają się mówić do twórców z l'Ecole do Paris językiem Maćka z „Krzyżaków": „My szczupaki a wy klenie". Otóż Bonnard, Matisse, Ronault, Braque, nawet w zestawieniu z najpotężniejszymi rybami nurtów przeszłości, mają również prawo do tytułu szczupaków, choć zapewne mniejszego kalibru.

Najgorzej wypadły na wystawie Szkoły Paryskiej sale poświęcone najnowszej twórczości abstrakcyjnej w malarstwie. Kiepscy superabstrakcjoniści angielscy wyjdą z tych sal z dumnym przeświadczeniem, że oni robią rzeczy lepsze i, gdyby eksponaty tam pokazane istotnie reprezentowały poziom współczesnego młodego Paryża, mieliby rację. Otóż tak właśnie nie jest. Jeśli jakość dokonań młodej Francji w porównaniu do analogicznych uzewnętrznień angielskich nie przytłacza tak druzgocąco tych ostatnich, jakby tego należało oczekiwać na podstawie ogólnego stosunku realizacji plastycznej Francji i Anglii w okresie ostatniego pięćdziesięciolecia, nie mniej potencjał i kultura plastyczna Londynu pozostaje jeszcze daleko za Paryżem. Powtarzam: sale młodej l'Ecole de Paris nie stwierdzają tej prawdy.

Aż ciśnie się na usta pytanie, kto był odpowiedzialny za taki poziom pokazu? Jeśli aeropag z Royal Academy — wszystko jest jasne z każdego punktu widzenia: i kompetencji i tendencji. Jeśli Francuzi — chyba ma miejsce zlekceważenie partnera. Trudno bowiem założyć aż taką nieporadność komitetu organizacyjnego wystawy.

Pierwsza sala (galeria XI) reprezentuje nazwiska: Georges Braque, Robert Delaunay, André Derain, Kees Van Dongen, Giorgio de Chirico, Roger de la Fresnaye, Othon Friesz, Juan Gris, Fernand Leger, Wassily Kandinsky, Henri Rousseau, Piet Mondrian, Maurice de Vlaminck. Wybija się tu monumentalny obraz Rousseau p.t. „Lew pożerający antylopę" (nr. 9), pełen dziwnej, naiwnej a poetyckiej konsekwencji form, choć trochę przygaszony w kolorze.

Prace Gris'a i Leger'a należą do słabszych realizacji, dających jednak pojęcie o tych twórcach. Wielki Braque jest pokazany wprost fatalnie. Gdyby sądzić po tych eksponatach — nie zająłby on żadnego miejsca w wizji współczesnej. Tak samo Vlaminck. Derain w „Siostrach" (nr. 19) i w „Martwej naturze" (nr. 21) jest reprezentowany nieźle.

Z prac Kandinsky'ego, prekursora malarstwa abstrakcyjnego, jedynie „Impresje Nr. 5" (nr. 29) mówi coś o nim. Dwie pozostałe są więcej niż słabe. Jedyna mała praca Kees Van Dongen'a jest na jego najlepszym poziomie. Może ona służyć przykładem, jak jeden obraz, wybrany z sensem, może charakteryzować twórczość malarza.

Sala 2 (galeria X) jest najlepszą na wystawie. Wiszą tu dzieła czołowych twórców Szkoły: Piere Bonnard'a, Henri Matisse'a, Maurice Utrillo'a, Eduard Vuillard'a. Ten ostatni jest bodaj najlepiej pokazany na wystawie. Dwa jego dzieła: „Portret Bonnard'a (nr. 50) i przepiękne „Wnętrze" (nr. 49) z wyszukanymi opozycjami zielonych i szarych tonów, podkreślony niespodziewanymi wykrzyknikami czerwieni — należą do najlepszych dzieł mistrza. Pozostałe 3 obrazy odpowiadają jego średniej klasie; wszystkie razem pokazują indywidualność twórcy, jak można najlepiej w ramach takiej wystawy.

Pięć obrazów Bonnard'a są tęgimi pracami, a „Róg stołu" (nr. 36, reprodukowany na afiszu wystawy) może się znaleźć wśród jego dzieł najlepszych. Ponieważ zapoznanie się z wizją bonnardowską można ponadto uzupełnić w Londynie oglądaniem jego kapitalnych dzieł w Tate Galery („Okno", „Obrus", „Most" i inne) — pokaz tej indywidualności na wystawie nie może budzić zastrzeżeń. Matisse również jest reprezentowany poprawnie. Ciekawe jest porównanie jego obrazu „Artysta i

model" (nr. 41) z r. 1918 z „Wielkim czerwonym wnętrzem" (nr. 43) z r. 1948, a więc 30 lat późniejszym. Wizja młodsza — pełna rezerwy i wspaniałej dyscypliny barwnej; późniejsza — tętniąca orgiastycznym wyżyciem się w kolorze; osobiście wybrałbym pierwszą. Również obraz sprzed 40 laty (r. 1910!) — „Martwa natura z dywanem" (nr. 39), rytmizowana kondensacjami barwnymi, równomiernie rozsianymi na płótnie, mówi o sile kolorystycznej już w pełni dojrzałego oryginalnego talentu.

Utrillo opowiada się czterema pracami, z których dwie: „Młyny" (nr. 32) i „Ulica" (nr. 37), mogą służyć jako przykład jego najlepszej formy. Dwie pozostałe prace pokazano niepotrzebnie. Jest to jedyna sala, która nie budzi poważniejszych zastrzeżeń.

W sali zwanej „Architectural Room" skupiają się nazwiska: Marc Chagall, Robert Delaunay, Marcel Duchango, Raoul Dufy, Jean Fautrier, Marcel Grommaire, Helmut Kolle, André Masson, Joan Miro, George Rouault, Seraphine de Senfis, Jacques Villon.

Z czterech dzieł Chagall'a bodaj tylko „Sen nocy letniej" (nr. 54) można zaliczyć do prac silniejszych (ale i tu razi widoczna dysproporcja w jakościach dolnej części obrazu na niekorzyść górnej). Wielki Rouault nie przekonywuje o swej istotnej potędze wyborem czterech obrazów, z których dwa, raczej monumentalne, po bokach „Chusty św. Weroniki" (nr. 62), są w dodatku fatalnie oprawione.

Wszyscy pozostali bardzo słabi, zaś Niemiec Helmut Kolle został tu zapewnie umieszczony dla podkreślenia beznadziejnego braku wszelkiej wrażliwości kolorystycznej, typowej dla sztuki niemieckiej w tym okresie.

Galeria IX obejmuje nazwiska: André Bauchant, Camille Bombois, François Desnoyer, Othon Friesz, André Lahote, Maria Laurencin, André Marchand, Albert Marquet, Amadeo Modigliani, Julius Pacin, Francis Picabia, Amédée de la Patellière, Jean Pougny, Dunoyer de Segonzac, Chaim Soutine, Suzanne Valadon, Vivancos, Louis Vivin, Maurice de Vlaminck, Henri de Waroquier. Mimo tęgich nazwisk całość robi wrażenie źle ułożonego okna jubileurskiego z połyskami prawdziwych klejnotów. Do nich należą trzy obrazy Modigliani'ego, wytworne prostotą uogólnień, przekonywujące konsekwencją stylową. Soutine'a „Martwa natura" (nr. 85) z zarżniętym kogutem jest chyba najlepszym obrazem tego malarza, jaki zdarzyło mi się widzieć; niestety, jest on w dysharmonii z pozostałymi trzema, słabymi pracami.

Spośród trzech prac Dunoyer de Segonzac, na ogół na poziomie, najlepsza jest „St. Tropez" (nr. 94). Trzy pejzaże Marquet'a dobrze go charakteryzują jako mistrza świetlistej przestrzeni i wody. Jedyny obraz znakomitej malarki Suzanne Valadon, matki Utrillo'a, nie daje żadnego pojęcia o jej klasie malarskiej.

Spośród prymitywów, malarzy „niedzielnych", podkreśliłbym „Dom Inwalidów" (nr. 103) i „Martwą naturę" (nr. 104) Luis Vivin'a oraz „Pejzaż zimowy" (nr. 81) André Marchand'a.

Galeria VIII: André Beaudin, Maris Blanchard, Francisko Borès, Maurice Branchon, Massimo Campigli, Pierre Charbounier, Lucian Coutand, Max Ernst, Louis Fernandez, Alberto Giacometti, Eduard Joseph Goerg, Francis Gruber, Charles Lapigne, Jean Lincat, André Masson, Joan Miro, Francis Picabia, Eduard Pignon, Francis Tailleux, Yrves Tanguy, Charles Walch.

Pełno tu zgrzytów i niedociągnięć i tylko kilka wartościowych pozycji. Wyróżnia się obraz „La Rochelle" (nr. 109) André Masson'a o niespodziewanych frazach malarskich, jest też pokazany w trzech obrazach jeden z najwybitniejszych abstrakcjonistów współczesnych — Joan Miro. Znakomity Włoch, Massimo Campigli, ma jeden mały, dobry obraz „Śpiewaczka" (nr. 116). Dobra jest „Waza z owocami" (nr. 127) Francis Tailleux'a; obraz jest pod wpływem Braque'a, ale o poważnych jakościach barwnych.

Trzy Legary są akcentami charakterystycznymi dla twardego normandczyka. Reszta — miernoty (obrazy — nie nazwiska). Wspomnę tu jeszcze Maxa Ernsta, Niemca, którego surrealistyczne potworności zyskały ponad zasłużony rozgłos, a którego pozamalarska makabryczność znajduje wyraz w „L'Ange du Foyer" (nr. 121). Rozgłos takiego malarstwa jak Ernsta polega na niezrozumieniu, że chociaż wszystko co jest prawdziwą sztuką jest nowe, nie wszystko co nowe jest sztuką.

Galeria VII to abstrakcjoniści: Laci Barta, Jean Bazaine, André Beaudin, Paul Bercot, Victor Brauner, Pierre Tal Coat, Oscar Dominguez, Maurice Estève, Max Ernst, Leon Gischia, Hans Hartung, Jean Helion, Wassily Kandinsky, Alberto Magnelli, Alfred Manessier, Jean la Moal, Piet Mondriah, Witty Mucha, André Lanskoy, Jean Plaubert, Serge Poliakoff, Suzanne Roger, Gérard Schneider, Gustave Singier, Geer Van Velde, Zelman.

Ma to być Paryż awangardy, niosący sztandar z napisem „L'art non figuratif". Wszystkie te obrazy, z małymi wyjątkami (np.: nr. 149 Barta i nr. 153 Gischia) robią wrażenie niepogłębionych eksperymentów, pozbawionych *jakości*, które mogłyby być rewelacją i nauką dla gospodarzy, t.j. malarzy angielskich, mózgujących w malarstwie abstrakcyjnym. Powtarzam: co drugi spośród tych ostatnich ma prawo powiedzieć, że on to potrafi nie gorzej i pójść do domu z błędnym przeświadczeniem, że w Londynie dzieją się rzeczy malarskie niegorsze niż w Paryżu.

Nie pozbawione jest pikanterii zestawienie przedmów do katalogu pp. Gerard Kelly, prezydenta Royal Academy — ze strony angielskiej i Jean Casson, naczelnego kustosza Musée National d'Art Moderne w Paryżu — ze strony francuskiej. Ten ostatni daje wyraz iście francuskiej kurtuazji, rozpoczynając od słów: „C'est un grand honeur pour la peinture française moderne que d'être accuellie par la Royal Academy..." P. Gerard Kelly utrzymuje swój artykuł w tonie iście angielskiej rezerwy, a zdanie, którym go kończy: „The pictures are here — look at them and let them speak to you" wiadomo jak trzeba czytać między wierszami; wiadomo bowiem każdemu, kto zna osobiste malarstwo p. Geralda Kelly, bezdusznego pompiera portretowego, nie wykazującego najmniejszego zrozumienia ani dla tendencji prawdziwego malarstwa współczesnego, ani dla malarstwa w ogóle.

Marian Bohusz-Szyszko

WOJCIECH ZALESKI

WSPÓŁCZESNE NIEMCY (IV)

»CZERWONY OJCIEC« I JEGO »RÓŻAŃCOWI KOMUNIŚCI«

WIELKI wpływ na ukształtowanie niemieckiej myśli społecznej wywiera ośrodek dominikański w klasztorze Walberberg (pod Bonn). Duszą jego jest obecnie Ojciec E. Welty O.P., zwany przez przeciwników „Czerwonym Ojcem". Określenie to, podobnie jak epitet „różańcowi komuniści", stosowany do całej szkoły Walberbergu, jest oczywiście wynikiem zaniepokojenia sfer kapitalistycznych i ich niezadowolenia z wpływów, jakimi cieszą się Dominikanie w najwyższych sferach hierarchii kościelnej niemieckiej, a zwłaszcza w Kolonii.

Ich radykalizm społeczny toruje im drogę do warstw robotniczych, zwłaszcza pobliskiego Zagłębia Ruhry. W tym kierunku prowadzona jest systematyczna praca wychowawcza: stale organizowane kursy dla działaczy robotniczych, to jest sekretarzy związków zawodowych, członków rad załogowych itp. dają bliski kontakt z życiem robotnika. Akcja ta nie jest prowadzona na określonej płaszczyźnie partyjnej. Obejmuje ona także działaczy stronnictwa socjalistycznego — niektóre odczyty urządzane są specjalnie dla nich.

Tą drogą wpływ Walberbergu rozciąga się na różne kierunki polityczne: chrystianizuje socjalizm oraz nadaje ruchom programowo chrześcijańskim wyraźne oblicze reformatorskie w stosunku do kapitalistycznej rzeczywistości dzisiejszych Niemiec.

Wyraża się to między innymi w dziedzinie walki o prawo współdziałania robotników w zarządzie przedsiębiorstw przemysłowych. Postulat ten spotyka się z poparciem całej opozycji socjalistycznej oraz odłamu rządowego stronnictwa chrześcijańsko-demokratycznego w parlamencie Republiki Związkowej.

Mało jest precedensów dla tej formy, to też jej zasady są od długiego czasu przedmiotem polemik i dyskusji. Nie wchodząc szczegółowo w ich omawianie, pragnę scharakteryzować pokrótce stanowisko „różańcowych komunistów" w w tej sprawie, zawarte w broszurze „Verantwortung und Mitverantwortung in der Wirtschaft", wydanej przez Kardynała i Arcybiskupa Kolonii J. Fringsa, a zredagowanej przez Ojca Welty. W przedmowie do tej broszury, która narobiła w Niemczech sporo hałasu, pisze Kardynał Frings, że jest ona owocem prac, podejmowanych przez grono pracodawców, pracowników i innych, oraz, że stanowi ona „próbę dalszego rozwinięcia chrześcijańskiej nauki społecznej", zawartej w Quadragesimo Anno" (dosłownie nawet: „poza ramy Quadragesimo Anno").

Warto dla scharakteryzowania tendencji wspomnianej broszury zacytować z niej pierwszą „zasadę" oraz sposób jej uzasadnienia. Zasada ta opiewa:

„Dążenie do większego udziału w kierownictwie przedsiębiorstw i zadaniach kierowniczych na wyższym szczeblu jest słusznym postulatem pracowników i w ogóle zadaniem naszych czasów; nie powinno więc ono być gromione (zniesławiane) i potępiane, lecz winno być uznane za właściwy i obowiązujący cel, oraz w możliwie największym stopniu urzeczywistnione."

W uzasadnieniu tej tezy podnosi O. Welty, że każdy krok w kierunku rozszerzenia współpracy i współdecydowania robotników daje im większe możliwości rozwijania ich osobistej samodzielności. „Robotnik będzie tą drogą powołany do wyrabiania sobie własnego zdania w szerszym zakresie spraw, a praca jego będzie związana silniej z jego osobą, będzie bardziej osobista, jeśli w jakiś sposób wpływać on będzie na jej warunki." „Nie należy lekceważyć znaczenia tego momentu, gdyż praca w decydujący sposób kształtuje osobowość człowieka." Wreszcie robotnik będzie powołany do współodpowiedzialności za swoją działalność.

Wyrabianie sobie własnego sądu, współkierownictwo i współodpowiedzialność to akty, dokonujące się na płaszczyźnie duchowych, a więc ściśle osobistych sił człowieka. „Człowiek obdarzony przez Boga i naturę osobowściową samodzialnością i własnowolnością *(Selbstmacht)* ma prawo i powinien dążyć do tego, by zagadnienie przypadające na niego we współdziałaniu z innymi rozwiązywać nie tylko wykonawczo, ale dyspozytywnie to znaczy opanowując je umysłowo." W dążeniu tym ujawnia się skłonność, stanowiąca jedną z najbardziej podstawowych zalet natury ludzkiej. Etyka chrześcijańska uznaje i popiera wszelkie dążenia, o ile są one rzetelne, to znaczy jeżeli dadzą się pogodzić z normami obyczajowymi, wskazanymi przez rozum i Objawienie.

Prawda, że dążenia te mogą być często zafałszowane zawiścią, ale „pod nieopanowanymi, nawet nienawistnymi żądaniami wielu milionów, pod nierozważnym pędem ku wolności i równości kryje się naturalne dążenie człowieka do bardziej samodzielnego współkształtowania swego losu na szerszej płaszczyźnie".

Żądania i oczekiwania chwili nie są jeszcze przez samą swą aktualność miarodajnym kryterium słuszności. Ale skądinąd „są o tyle znaczące i mają charakter nakazów, o ile uzewnętrzniają słuszne pragnienia, które skoro dojrzał ich czas i skoro ludzie w przeciwieństwie do dawniejszych czasów zaczęli je dostrzegać, muszą być urzeczywistnione, jeżeli ma być spełnione wezwanie Boga do naszych czasów."

„Ludzkość, na którą sam Stwórca nałożył obowiązek coraz dalej posuniętej aktualizacji swych uzdolnień i wciąż wzrastającego pielęgnowania powierzonych sobie wartości, dopiero w toku dziejów i poprzez rozliczne przemiany staje się świadoma rozmaitych postaci i stopni współistnienia i współdziałania."

„Gdy dojrzeje rozwój historyczny i dotychczasowy kształt i stopień współżycia nie może już dłużej uchodzić za odpowiadający swemu czasowi, należy do ludzi w rozumnym namyśle i w swobodnym, kształtującym opanowaniu — a nie pod przymusem i przemocą koniecznego biegu dziejów — wziąć w rachubę tę nową sytuację."

„Warstwa robotnicza, przynajmniej w krajach kultury europejskiej, dojrzała i decyduje już o biegu dziejów. Było by nienaturalne, gdyby ta emancypacja nie objęła także dziedziny pracy ludzkiej, by warstwa robotnicza nie miała przezwyciężyć przestarzałej formy zależności. Zamiast jej dążenia w tym kierunku przemocą zgniatać, należy należy raczej wyjść im naprzeciw w sposób rzetelny i wielkoduszny. Bramy dla właściwego ich rozwoju i przejścia przez okres próby winny być otwarte."

Umyślnie zacytowaliśmy tu w obszernych, miejscami dosłownych cytatach, poglądy wyrażone w broszurze O. Welty, jeśli idzie o uzasadnienie postulatu współdziałania i współdecydowania robotników. Trudno na tym miejscu rozwinąć jego szczegółowe postulaty, które zresztą polegają raczej na ogólnych wskazówkach, dezyderatach i z drugiej strony ograniczeniach niż na przedstawieniu konkretnych projektów rozwiązań.

Nie sposób jednak nie zwrócić uwagi na trudność najistotniejszą, z której autor zdaje sobie sprawę. Na pytanie: czy robotnik ma z punktu widzenia etyki bezwzględnie obowiązujące roszczenie do uzyskania prawa współdecydowania i współdziałania, O. Welty daje odpowiedź negatywną. Ma on jedynie prawo *domagać się* przeprowadzenia potrzebnych kroków ze strony państwa. Wynika to z prawa jednostki — w tym wypadku przedsiębiorcy — do dysponowania swą zgodnie z prawem zdobytą własnością.

Dalej współzarząd przedsiębiorstwem wymaga również przeprowadzenia zasady współodpowiedzialności. Było by sprzeczne z naturą działalności gospodarczej, gdyby decyzje w sprawach gospodarki przedsiębiorstw mogły być podejmowane przez ludzi, którzy za te decyzje nie będą ponosić odpowiedzialności, a do tego ostatecznie sprowadza się zasada współzarządu, wysuwana w formie postulatu przez O. Welty, oraz przez lewicę społeczną w Niemczech, a także przez związki zawodowe.

Wydaje mi się, że historycznie słuszne żądanie rozszerzenia praw robotników nie może być urzeczywistnione bez jasnego postawienia sprawy jego stosunku do prawa własności, podobnie jak właściwa tendencja do położenia kresu koncentrowaniu wytwórczości poza granice gospodarczo uzasadnione nie może być rozwiązana przez sam powrót do zasady wolnego współzawodnictwa.

Wojciech Zaleski

NA KOGO ZŁY JEST B. RUSSELL?

Amerykański „Time", pisząc o laureatach nagrody Nobla r. 1950, podaje rozkoszniutki szczególik z życia Bertranda Russella. Oto, ponieważ Russell propagował t.zw. małżeństwa na próbę wśród studentów, nowojorski sąd cofnął, w r. 1940, jego profesurę w New York City College.

Jakiś dziennikarz przypomniał sobie teraz tę historię i zapytał laureata, czy jeszcze się gniewa. Russell odpowiedział: „Nie jestem zły (mad) na nikogo, tylko na Kościół katolicki".

ŁEBKA ZGON NIESMUTNY

Nie przeprowadzałem korekty artykułu p.t. „*Łebka zgon niesmutny*" (*ŻYCIE* z dn. 11 lutego br.), wskutek czego, mimo pełnej pomocy Redakcji, znalazły się w nim przykre błędy. Pragnąłbym wskazać przynajmniej najważniejsze.

Na str. 5-ej „*deżdż*"-*deszcz* winien stanowić osobną pozycję w wyliczeniu rzeczowników typu „*łeb*". Pozycję tę winno zacząć objaśnienie: „*z pniem zakończonym na spółgłoskę zwartoszczelinową*", zwartoszczelinową — bo jest i *cz* (bezdźwięczną) i *dż* (dźwięczną).

„*Pomięszało się*" jest nieprawidłowe. Winno być: *pomieszało się* z *e*. Dwukrotnie zakradło się „*resumując*" zamiast jedynie możliwego *reasumując*. Nie *trzazka* oczywiście, ale *trzaska*.

Zdrobnienie od *dzień i pień* mogło niegdyś mieć postać *dnek*, *pnek*, dopełniacz *dzienka*, *pienka*.

W cytacie z Reymonta oczywiście nie „*człowieka zewłoka*", lecz „*człowiecza zewłoka*".

Pisząc o możliwej zmianie samego *łba* wysuwam, jako przypuszczenie postaci „*łep*", dopełniacz „*łpa*" lub „*łepa*" (nie „*łeba* — jak wydrukowano).

Kilka drobnych pomyłek pozostawiam nie poprawionych.

Stanisław Westfal

LUDZIE, KSIĄŻKI, ZDARZENIA

DWIE KSIĄŻKI Z HISTORII POLSKI

NIEDAWNO „Times Literary Supplement" (z d. 26. 1 b.r.) ogłosił obszerne omówienie dwóch książek z zakresu historii Polski, które pojawiły się ostatnio w języku angielskim: tomu I „*Cambridge History of Poland*", obejmującego okres od zarania dziejów Polski do zgonu Sobieskiego, oraz książki prof. Adama Żółtowskiego „*Border of Europe*", poświęconej polskim ziemiom wschodnim. Omówienie to wyjść musiało spod pióra dobrego znawcy historii naszego kraju: utrzymane jest ono w tonie obiektywnym i rzeczowym.

Autor przypomina najpierw, że przymierze polsko - brytyjskie z r. 1939 poprzedzone zostało przez alians na mniejszą skalę, zawarty na parę lat przedtem między historykami obu krajów w celu wspólnego przygotowania „*Cambridge History of Poland*". Ideę tę powziął nieżyjący już prof. H. Temperley, który był kierownikiem delegacji brytyjskiej na siódmy międzynarodowy kongres historyków w Warszawie w r. 1933 i został tam wybrany prezesem „międzynarodówki" dziejopisarzy. Wówczas to właśnie stwierdził on, jak bardzo zignorowana została historia Polski w dotychczasowych tomach „*Cambridge Histories*". Polska pojawia się w nich głównie na marginesie dziejów Niemiec lub niektórych innych sąsiednich krajów (nawet Zakonu Krzyżackiego, a w dodatku w szeregu wypadków przyjęty został niemiecki punkt widzenia w stosunku do Polski, niektóre bowiem części tych tomów napisane zostały przez Niemców.

By tę rzecz naprawić, w r. 1936 zainicjowano „*Cambridge History of Poland*", jako pracę zbiorową, napisaną przez specjalistów brytyjskich, amerykańskich i polskich, nadto paru współpracowników z innych krajów. Ustalono czterotomową redakcję, w której skład weszli: zmarły parę lat temu W.F. Reddaway, J.H. Penson, O. Halecki oraz nieżyjący już również anglista polski R. Dyboski. Zamierzone było utrzymanie liczbowej równowagi między artykułami Polaków z jednej, a Brytyjczyków i Amerykanów z drugiej strony, ale nie dało się tego przeprowadzić i w rezultacie udział Polaków przeważył.

By zapewnić opracowanie poszczególnych okresów i zagadnień przez możliwie najlepszych ekspertów, podzielono całe dzieło na 50 rozdziałów, a niektóre z nich, aby wyzyskać istniejących specjalistów w jak najpełniejszej mierze, podzielone jeszcze zostały na podrozdziały. Oczywiście utrudnić to musiało pracę redaktorów, tym bardziej, że wiele rozdziałów musiało być tłumaczonych na język angielski. Mimo to w chwili wybuchu wojny opracowanie całości było bliskie końca. Najazd na Polskę odciął wielu współpracowników; w Anglii zmarł prof. Temperley. Wskutek tych okoliczności tak się złożyło, że tom drugi, obejmujący okres od Augusta II do Piłsudskiego, ukazał się najpierw w r. 1941, a więc na blisko dziesięć lat przed tomem pierwszym, wydanym obecnie.

W chwili pojawienia się tomu I, spośród 44 współpracowników dzieła 19 nie żyło; czterech z nich zmarło w niemieckich obozach koncentracyjnych, jeden zabity został przez bombę niemiecką.

Habent sua fata libelli — podkreśla recenzent i zaznacza, że dzieło nawet teraz nie jest jeszcze w całości gotowe, gdyż ma ukazać się jeszcze tom trzeci, obejmujący obszerną bibliografię. Jedną z usterek książki stanowi brak jednolitych angielskich określeń polskich imion, tytułów, instytucyj itd.; współpracownikom zostawiono w tej dziedzinie swobodę, a „pogodzenie" różnic pozostawiono indeksowi. Jednak i ten indeks, na ogół dobry, zawiera niekiedy podwójne określenia; tak np. królowa Maria Ludwika figuruje tam raz jako *Lodovica Maria*, raz jako *Maria Louisa*.

Usterki takie i inne nie umniejszają jednak — zdaniem recenzenta — zasługi redaktorów w ukończeniu dzieła, a obecnie wydany tom jest nawet bardziej dojrzały i zwarty od poprzedniego. Recenzent chwali szczególnie rozdziały, napisane przez prof. Bruce-Boswella, doskonałego znawcę średniowiecznej historii Polski; dalej trzy rozdziały pióra prof. O. Haleckiego, omawiające pierwszy okres ekspansji Polski na wschód (1333 — 1434) i jej unię z Litwą, oraz rozdział dr W. Pociechy o okresie 1506 — 48. Doskonałe są też — zdaniem autora recenzji — opracowania prof. P. Davida (Francja) o pierwszych stuleciach Kościoła polskiego; prof. J. Umińskiego o kontrreformacji i śp. J. Siemieńskiego o zagadnieniach konstytucyjnych, — wreszcie prof. F. Novaka, Amerykanina polskiego pochodzenia, o okresie 1572 — 1632.

Niezupełnie natomiast — zdaniem recenzenta — udało się redaktorom „*Cambridge History of Poland*" przedstawić dzieje Polski w postaci powiązanej, w ich nieprzerwanym rozwoju, co oczywiście nie było rzeczą łatwą przy istnieniu prawie 50 współpracowników. Poza tym poszczególni autorzy niezawsze uwzględnili wyniki najnowszych badań. Tak np. pierwszy rozdział, o prehistorii, nie bierze pod uwagę odkryć dokonanych w ciągu ubiegłych lat dwudziestu oraz najświeższych badań nad prehistorią Słowian. Z prac Kostrzewskiego, Czekanowskiego i z książki Dvornika „*The Making of Central and Eastern Europe*" (wydanej niedawno przez Polish Research Centre w Londynie) wynika, że pierwotne siedziby Słowian sięgały znacznie dalej na zachód, niż to do niedawna mniemano, i w „osobliwy sposób pokrywały się z przyszłym obszarem Polski".

Recenzent zauważa też, że artykuł prof. S. Kętrzyńskiego, wybitnego badacza średnich wieków, nie odpowiada zadawalająco na pytanie, w jaki sposób Polska wyłoniła się z mroku wczesnego średniowiecza od razu jako dobrze zorganizowana i silna monarchia. Przede wszystkim jednak brak jest w książce wyczerpującego zharmonizowanego wyjaśnienia przemian społecznych, ustrojowych i gospodarczych, które przekształciły zupełnie strukturę Polski w ostatnich dziesięcioleciach XV i pierwszych XVI stulecia. „Czytelnik omal niezdolny będzie uświadomić sobie, że w wieku XVI uległa zmianie sama koncepcja narodu polskiego; że idea jednorodnego (*homogeneous*) narodu wszystkich warstw społecznych zastąpiona została wówczas przez koncepcję „narodu" szlachty polskiej, ruskiej i litewskiej, ukształtowaną na modłę rzymskiego *ius civilatis*".

Przy czytaniu zaś ostatnich rozdziałów nie otrzymuje się jasnego poglądu, czym była Polska, gdy się wyłoniła z „potopu" 50-letnich ciągłych wojen, toczonych w obrębie jej granic w latach 1648 - 99. A przecież spustoszenie i wyczerpanie kraju w tym okresie było w wielkiej mierze przyczyną późniejszego wewnętrznego rozstroju Polski, pośrednio zaś doprowadziło do ostatecznej jej katastrofy.

★

Następuje bardzo na ogół przychylna recenzja o książce prof. Żółtowskiego „*Border of Europe*". Autor artykułu ma tylko zastrzeżenia co do samego tytułu książki. Zdaniem jego „prowincje wschodnie dawnej Rzeczypospolitej polsko - litewskiej nie były, ściśle biorąc, kresami Europy, lecz zachodniego chrześcijaństwa i tradycji łacińskiej; ich polityczne uświadomiona ludność nie miała nigdy żadnych wątpliwości, do jakiej części świata jest przynależna. Książka mówi o kulturalnym podbiciu tych prowincji przez Polskę w wyniku jej unii z Litwą, oraz o ich późniejszej historii aż do r. 1939".

„Autor — ciągnie recenzent —, uczony polski o silnych związkach osobistych z tą częścią Rzeczypospolitej, przedstawia polski punkt widzenia w sposób pełen wigoru (*vigorously*). Traktowanie tematu znamionuje jednak uczonego i humanistę; autor czyni uczciwy wysiłek w kierunku jak największego obiektywizmu. Trudno się dziwić, że element polski w tych prowincjach wysuwa się na czoło, skoro jego żywotność, siła liczebna, wpływ kulturalny, wytrwałość i zdolność podnoszenia się z klęsk często znajdowały wyraz w dziejach. Ludność tych krajów istotnie okazywała się najbardziej wartościowym składnikiem narodu polskiego. Wyszedł spośród niej Kościuszko, polski bohater narodowy, Mickiewicz i Słowacki, dwaj najwięksi polscy poeci, a w naszych czasach dwaj wielcy przywódcy: Paderewski i Piłsudski. Jedną konkluzję da się niewątpliwie wyciągnąć: że rozpowszechniony pogląd, jakoby można było utożsamiać polską część zaludnienia prowincji litewsko-ruskich z szlachtą, posiadającą ziemię, i jakoby ta polska część zaludnienia została zlikwidowana przez reformy rolne i rewolucje, — wynika z grubego upraszczania sprawy".

„Pomimo pewnych pomniejszych niedokładności i pomyłek — kończy recenzent — obfite i w przeważającej mierze ściśle informacje, zawarte w tym trzeźwym, ścisłym i wysoce godnym czytania przedstawieniu sprawy (*narrative*), nie będą mogły być pominięte przez nikogo przy studiach nad tą częścią Europy wschodniej".

WOJCIECH GNIATCZYŃSKI

BANANY I OSIOŁ

GLENGARRIFF jest dla Irlandii tym, czym wodospad Niagara dla Ameryki Północnej: młode małżeństwa spędzają tam swoje miodowe miesiące. I całkiem słusznie, bowiem Glengarriff uważany jest za perełkę Irlandii.

Miejscowość ta leży nad Zatoką Bantry, która przypomina gigantyczny cień drzewa, z tysiącem odgałęzień, gałązek i gałązeczek. Już w Corku nazwy Glengarriff i „Błękitny Staw" łączono w niepodzielną całość. „Błękitny Staw" — kąpielisko tego miasteczka zakochanych — nie jest wcale stawem, lecz właśnie gałązeczką zatoki, a kolor jego zmienia się zależnie od koloru nieba. Ale zapewniano, że kąpiel w nim jest wspaniała.

Postanowiliśmy tedy — koleżka i ja — obejrzeć ten ósmy cud świata. Idąc na stację autobusową przypomniałem sobie, że nie mam pasa do kąpielówek. Wstąpiliśmy tedy do sklepu.

Obsługujący dżentelmen wydobył spod lady kolekcję pasków i natychmiast stwierdził raczej, niż zapytał:

— Panowie są Polakami, prawda?

Nie zdziwiliśmy się. W Corku wszyscy nas znali jak łyse kobyły. Zgadaliśmy się o Glengarriff.

— Cudny klimat... — rozpływał się kupiec. — Wiecie panowie, nawet próbowano tam uprawiać banany.

Kpi dziad, czy o drogę pyta? Ale widząc nasze zdziwienie powtarza wyraźnie: „bananas".

Ucieszyliśmy się. Po nieomal bezustannym deszczu Corku, (ach! jak tęskniliśmy do słonecznej Anglii!) brzmiało to zachęcająco.

* * *

W porównaniu z angielskimi, drogi irlandzkie są podłe; ale w porównaniu z polskimi — pierwsza klasa. Około trzeciej po południu przystajemy na pół godziny w lichej mieścinie. Mniej więcej połowa drogi. Konduktor, kierowca i wszyscy pasażerowie (oprócz nas) pędzą do pubu, znajdującego się tuż koło przystanka. Dolatują stamtąd „śpiewy". Szanujący się Irlandczyk w sobotę po południu ma już dobrze w czubie.

Irlandczycy kochają Polaków i przy każdej sposobności afiszują się z tą miłością, irracjonalną jak każda wielka miłość. A jednak ten brudnawy tłumek za oknami autobusu jest jakiś obcy. Przypomina — pszczoły. Pod wieloma względami podziwu godne, ale tylko pszczoły. Jakby nie-ludzie.

Rynsztokiem pędzi zasmarkany, umorusany pędrak, wrzeszcząc jak opętany. Bose stopy rozchlapują błotniste kałuże na przechodniów. Nagle, w tej szalonej pogoni za swym rówieśnikiem, — pac! rozciągnął się jak długi na kocich łbach i — dopiero w krzyk.

Pryska nieprzyjemne uczucie. Istoty na ulicy oglądają się na ryczącego chłopaczka z wyrazem to współczucia, to rozbawienia; czuję, że przecież są ludźmi. Z oczu malca płyną prawdziwe łzy.

Wracają: konduktor, kierowca i pasażerowie i — wiemy to — z sobą niosą z sobą pchły.

* * *

Zajechaliśmy. Niewiele było widać, bo góry otuliły się w mgłę. Pierwszy raz widziałem wodę Atlantyku, ale wyglądała ona jak każda inna woda.

W hotelu dostaliśmy t. zw. „chalet". Jest to domek - pokój, wielkości sporej altany, w ogrodzie. Takich „chalets" było tam kilka. Rozlokowaliśmy się, umyliśmy, a potem przez chwilę przysłuchiwaliśmy się ciszy ogrodu, rozkoszując się myślą o śnie.

Było już późno. Prędko kolacja — świeży łosoś w majonezie, ananas w francuskim cieście z bitą śmietaną (spytałem niewinnie kelnerkę: „Czy rosną tutaj ananasy?" Spojrzała na mnie jak na wariata.) i tea; potem szklanica piwa (10 pensów), papieros, krótki spacer, żeby się majonez ułeżał i — o rozkoszy! — do wyrka.

* * *

Koło naszego „chalet" przez całą noc pasł się osiołek, porykując czasem.

* * *

Wstajemy niewyspani, ale zadowoleni. Pogoda jest cudna. Słońce świeci, góry widać z wspaniałą wyrazistością w kryształowo czystym powietrzu. Zatoka jest błękitna jak oczy Irlandek. Daleko, daleko widać dwie spore góry, a między nimi — kreskę, srebrzącą się jak łuski ryby. Atlantyk. Pustynia wody, a dopiero hen, za nią, — Ameryka.

Śniadanie. Sadzone jaja, boczek ad libitum, porridge (albo cornflakes) z mlekiem... Przy „tostach" zaczęło padać. I tak już padało do wieczora, a potem do rana, a potem do wieczora... Krótko mówiąc słońca już więcej nie ujrzeliśmy. A góry znowu spowiły się w mgłę.

Ale Glengarriff obejrzeliśmy, łaziliśmy nawet po owych górach. Czekanie bowiem na dobrą pogodę w Irlandii nie ma sensu. A może i ma? Sam nie wiem, bo czas na „Szmaragdowej Wyspie" się nie liczy. Tydzień to sekunda, minuta to moment, a c sekundzie jak Irlandia Irlandią nikt nigdy nie słyszał. „Punktualność" to pojęcie nie istniejące.

Łażenie po górach opłaca się nawet za cenę przemoknięcia. Gdy bowiem płaszcz mgły na chwilę przedrze się, widok jest tak wspaniały, że przypominają się Włochy. I w dali - siny teraz, tajemniczy Atlantyk.

Ale i samo miasteczko jest przyjemne. W hotelu warto siedzieć choćby poto tylko, by zaśmiewać się z owych małżeństw na „honeymoon". (Zakochany Irlandczyk przypomina tańczącego niedźwiedzia). No i Anglików. Anglicy — starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni — przede wszystkim jedzą. Śmietana, jaja, masło, befsztyki, wszystko, wszystko, aby dużo, aby jak najwięcej. A gdy sobie już — za przepraszeniem — podeżrą, idą na spacer: czasem bez celu, a częściej — w odwiedziny do jakiegoś odległejszego hotelu, by tam: od nowa tea, biscuits, cakes, śmietana, jaja, masło... Anglicy grają też w golfa (piękny sport; wcale nie żartuję), łowią ryby i malują. Malują przede wszystkim starzy. Malują makabryczne bohomazy, ale widać, że im to sprawia bezgraniczną i chyba zdrową przyjemność.

A zakochane gołąbki gruchają.

* * *

„Makuśla".

Nie wiem jak się to słowo pisze alfabetem łacińskim, a tym mniej — celtyckim.

„Makuśla". Brzmi to melodyjnie, choć mowa irlandzka swą gardłowością przypomina hebrajską. „Makuśla" znaczy „Kochanie" (tymoje!). Ale parki w Glengarriff używają wyrazu „darling". Język irlandzki (gaelicki) kona i żadni lekarze nic nie pomogą. Chyba cud. O ten cud modli się pewnie część inteligencji irlandzkiej, ale...

Nic dziwnego, że język irlandzki umiera. Pięćset lat brytyjskiej niewoli, niewoli na prawdę srogiej i to w kraju biednym, nie samowystarczalnym, zrobiło swoje. Dziś, być Irlandczykiem to znaczy przede wszystkim — być katolikiem.

Dzieje Anglii zostawiły tu liczne ślady. Koło Glengarriff wznoszą się mury zamczyska. Anglicy obawiali się inwazji Napoleona i zbudowali tę strażnicę, strzegącą wejścia do Zatoki Bantry — naturalnego portu, o wodach głębokich i spokojnych.

W samym środku glengarriffowego odgałęzienia zatoki jest spora wyspa. Jej niepodzielnym panem jest Anglik. Jego pradziadowie byli tu strażnikami „nowego ładu" brytyjskiego. Ów Anglik hoduje kwiaty w nieskończonej ilości odmian. Pośród zieleni, tak głębokiej i puszystej, jaką można widzieć tylko w Irlandii, kwitną małe dzwoneczki i olbrzymie kielichy i kule wszystkich kolorów. Tu i tam widnieją jakby niedbale rzucone sztuczne ruiny (o perwersjo ludzka!) „klasycznych" świątyń, gdzieniegdzie rosną palmy. Wyspa - ogród, pysznąca się najwspanialszymi tworami natury. Wstęp trzy szylingi.

Ale banany są tylko w sklepach (9 pensów za funt).

* * *

Następnej nocy osiołek nie miał apetytu, więc ryczał sobie całą noc.

Sympatyczny to zwierz, ale człowiek musi przecież spać. Wróciliśmy tedy do Corku.

Wojciech Gniatczyński

D Y S K U S J E

Polski katolicyzm

KSIĄDZ prałat Walerian Meysztowicz w swym artukule „Katolicyzm pclski" (ŻYCIE, nr. 189 z 4 lutego b.r.) wyraża zdziwienie, że „był ktoś, kto dostrzegłszy różnicę pomiędzy katolicyzmem naszym a angielskim, gotów był odważnie zastanawiać się, *czy jesteśmy na prawdę katolikami?*" i uważa, że w naśladowaniu wzorów obcych jest „wiele zapału, właściwego necfitom w pracy na niwie kościelnej"...

Jestem również jednym z tych, którzy podzielają pogląd, skrytykowany przez X.W.M., a na poparcie mam podobny pogląd p. J. Giertycha, który przytacza znane mi osobiście opinie angielskich katolików o naszym katolicyźmie (ŻYCIE, nr. 188 z 28.I.b.r.), jak również dcświadczenie proboszcza sąsiedniej parafii, liczącej m.i. paruset Polaków. Nie są to więc teoretyczne rozważania naukowca, badającego życie przez mikroskop w zaciszu laboratorium, ale faktycznie ciężkie przeżycia na obczyźnie, gdzie katolicyzm jest *militans*, csaczony zewsząd, a jednak zwycięski, mimo, że podstawiają mu nogi członkowie innej (polskiej) nacji, należącej do tegoż katolickiego Kcścioła i, zdawało by się, zobowiązani pod tym względem do współpracy w dziele apostolstwa Chrystusowego.

Powoływania się na O. Beyzyma, patriarchę Zaleskiegc, nawet na O. Kolbe, o tyle tylko mogą być „przydatne", że dzięki tym szczytom można i trzeba zwrócić uwagę na otchłanie i przepaści, straszne, prawie że bezdenne. „Epoki największego bohaterstwa są zarazem epokami żałosnej nikczemności; szczytom towarzyszą otchłanie", pisze M. Winowska. (ŻYCIE, nr. 190 z 11. II. b.r.).

Powoływanie się na Unię Brzeską niewiele również pomoże, gdyż Polacy jej nie dochowali, a raczej dochowywali z nieukrywaną niechęcią, czego dowodzą chcćby doświadczenia X. Kard. Tisserant. — Proszę mi wybaczyć, że znów powołam się na ŻYCIE (nr. 190): „Kard. Tisserant zna również Polskę, ale z naszego kraju, z rozmów z wybitnymi katolickimi osobistościami, nie wyniósł najlepszych wspcmnien. Chodzi mianowicie o dość rozpowszechniony w Polsce przed wojną stosunek do Unii, nacechowany, wyrażając się oględnie, niezrozumieniem; a wymownych demonstracyj tegc niezrozumienia wówczas monsignorowi Tisserant nie oszczędzono". — (Pamiętam też, jak jeden z moich kolegów śmiertelnie i ‚na zawsze' obraził drugiego, wypominając mu „czarne podniebienie", jakc że Matka jego była Rusinką; działo się to na terenie Ministerstwa Spraw Zagranicznych).

Odnoszę również wrażenie, że X. W. M. mało się stykał z naszym klerem w głuchych parafiach Sandomierszczyzny lub Kieleckiego. Spędziłem tam sporo lat i widziałem rzeczy, dzięki którym moje ukorzenie się przed nauką Chrystusową i pcwrót na łono Kościoła katolickiego nastąpił dopiero pod koniec wojny, na wygnaniu w Anglii, gdyż tu spotkałem katolików z prawdziwego zdarzenia, a stwierdzić muszę, że szukałem ich w Polsce dość skrzętnie i gctów byłem w swoim czasie poddać się dyscyplinie i entuzjazmowi ś.p. kpt. Polesińskiego. Tak, im więcej polegamy na sercu, tym bardziej zaniedbujemy intelekt.

Jeżeli można w ogóle mówić o połączeniu naszego katolicyzmu z naszym pcczuciem narodowym, to połączenie takie nazwałbym raczej nieświadomym, lub, lepiej jeszcze, podświadomym; zarówno bowiem inteligencja polska jak i lud nie zdają sobie sprawy z istoty tego połączenia i częstokroć powtarzają słcwa bez należytego zrozumienia, przy czym inteligencja uzależnia katolicyzm od polskości, a lud — polskość od katolicyzmu. Należy jednak zauważyć, że obie te kreacje są stcsunkowo świeżej daty. Niedawne to przecież jeszcze czasy, gdy mówiono po wsiach o powrocie „naszych" (t.j. Rosjan), lub, na zachodzie Polski, że „za Niemca było lepiej", a inteligencja marzyła o „dawnych dobrych, carskich czasach", albo, w Małcpolsce, tęskniła do powrotu Habsburgów. Na Śląsku Cieszyńskim czy na Mazurach, gdzie protestanci drukowali książki religijne po polsku choć gotykiem, również można, a nawet trzeba, mówić o połączeniu polskości z protestantyzmem.

Pamiętam, jak na rck przed wojną inteligent polski z dyplomem uniwersyteckim wyraził się publicznie, że wszystko jedno, jaką będzie Polska: biała, czarna, żółta czy czerwona, byle tylko była. Takie zdania są częste na emigracji, zwłaszcza... w rozmowach z Anglikami.

Moim zdaniem można, a nawet trzeba brać od obcych to, co jest u nich dobregc, a wyrzekać się tego, co własne, ale nie wiele warte. „Sublimowanie" swoistego mesjanizmu nie daleko zaprowadzi, najwyżej do herezji, jak to miało miejsce z X. Huszno itp., lub do apostazji, jak w wypadku X. Heubnera i innych, których oscbiście znałem z terenu kieleckiego. Wszelakiego rodzaju egzaltowany *Entuzjazm*, jak tego dowodzi R. Knox w swym wspaniałym dziele („Enthusiasm") leży u podstaw każdej herezji. Nie kuśmy się być bardziej katolickimi od Papieża i nie miotajmy gromów na „cudzcziemców", oskarżając ich o źdźbła, skoro w naszych własnych oczach aż roi się od belek.

Nie wiem ,kiedy X.W.M. był we Francji, ja byłem ostatnio w r. 1945 i widziałem o godz. 8 rano tysiące Francuzów przyjmujących Komunię Świętą, widziałem twarze śpiewających w kościele i patrzących ze zdziwieniem, że się z nimi nie łączę, a śpiewano psalmy pc łacinie: Francuzi śpiewali je bez śpiewników, z pamięci. Widziałem księży francuskich na obczyźnie, mających wysokie odznaczenia wojskowe a jednak wypędzonych z kraju — jak wspaniale łączyli miłość Boga z miłością Ojczyzny.

Nie chodzi mi jednak w danym wypadku o wartość jednostek, chcdzi mi o wysiłek narodu jako całości. — A cóż wtedy znaczy nasz mniej niż skromny wkład w prace misyjne w porównaniu z Irlandczykami, Holendrami, Francuzami, Niemcami, a jak obecnie, to i z Anglikami i Amerykanami. Nie odważę się zapomnieć c Włochach i Hiszpanach. Byłbym wdzięczny za stosunkowe procentowe dane udziału w misjach tak zwanej popularnie protestanckiej Holandii i katolickiej Polski, lub też jak wyglądałby na tym polu stosunek Irlandii do Polski.

Oddajmy każdemu, cc mu się należy, ale nie bogaćmy się kosztem niesprawiedliwego sądzenia i nadmiernej krytyki innych narodów. Obawa przed niebezpieczeństwem bolszewickim nie powinna nam zasłaniać oczu na ideę nawrócenia Rosji. Niestety, nie sądzę, by wielu Polaków potrafiło obecnie wznieść się ponad nienawiść do Niemców i Rcsjan. Z drugiej strony trudno jest potępić Stanislas Fumet'a, gdyż potępić należało by również i Lecna Bloy i J. Maritain'a i wielu innych, którzy ogarniają horyzonty szersze nad partykularne interesy jednego tylko narodu.

Naród polski mógłby i może wnieść wiele do „wspólnej skarbnicy", ale drcga, wskazana jeszcze przez Kazimierza Wielkiego i Jagiellonów, była i jest niepopularna. Przykro, że doświadczenia I i II wojny światowej nie dały duchownym i politycznym przywódcom należytego zrozumienia istoty posłannictwa Pclski, które jej wciąż jeszcze przyświeca, ale nie przez rozdmuchiwanie kwietystycznego zadowolenia z siebie i z czynów nie przez siebie dokonanych; nie przez egzaltowanie narodowego mesjanizmu: ale przez ofiarne, pokorne, z zaparciem siebie sprawowane apcstolstwo, jak u O. Maksymiliana Kolbe.

Stwierdzenie X.W.M., że „...nasz głos... nigdy nie zamącił harmonii Jednego, Świętego, Apostolskiego, Katolickiego Kościcła" jest conajmniej zagalopowaniem się, jeśli nie rozminięciem z prawdą historyczną, że *wspomnę* tylko o całej działalności Hozjusza, skierowanej przeciwko temu ‚zmąceniu harmonii' właśnie. A kancnik i ongiś kapłan katolicki Jan Łaski, ze swoją rolą w całej ‚Europie, który ponosi główną winę za zmianę angielskiej schizmy na formalną herezję, za sprotestantyzowanie Anglii? Gdybyśmy z resztą byli bez winy, nie bylibyśmy tak surowo karani, jak jesteśmy obecnie; wystarczy tylko wspomnieć c „kontredansie mężów i żon" podczas 20 lecia niepodległości, od Głowy Państwa poczynając.

Niestety, nie mogę się zgodzić z X.W.M., że katolicyzm Polski jest bez zarzutu i stawiam tezę, wręcz przeciwną, że jesteśmy dlatego tak surcwo doświadczani, iż jesteśmy pełni win; że Bóg chce naszej poprawy, gdyż droga do poprawy wiedzie przez ofiary i cierpienie, w czym leży nadzieja i ufność, żeśmy nie utracili Łaski Bożej: Bóg bowiem doświadcza i karze tych, których poprawę przygotowuje.

Wierzę niezłomnie, że Bóg przygctowuje nawrócenie Rosji, wierzę w to na zasadzie objawień N. M. Panny w Fátima. Wierzę, że główna rola dana jest Polsce, ale czy kraj nasz ją spełni?

Nie sądzę, by to było możliwe, jeśli nadal krzewić będziemy wśród siebie swoisty polski mesjanizm, oparty na przeświadczeniu o własnej wyższości od rzekomo ubcższych duchowo sąsiadów.

Jan Helcman

NOWE FILMY

DZIWNA AFERA

„THE FRANCHISE AFFAIR"

Recenzenci brytyjscy są ogromnie zadcwoleni z tego filmu, opartego na drugorzędnej powieści, która z kolei napisana była jakoby na zasadzie autentycznych akt sądowych. Jest tam wszystko na gust brytyjski i nie ma tego, czego Brytyjczycy nie lubią: nadmiaru wyobraźni, inteligentnej reżyserii, pomysłowych (i dlatego trudniejszych dla widza) chwytów filmowych.

Szancwna starsza pani i jej nudnawa córka, zamieszkujące w odosobnionej willi na prowincji, zostają ni z tego ni z owego oskarżone o porwanie, uwięzienie i złe traktcwanie nieletniej dziewczyny, a to rzekomo w celu zmuszenia jej do pełnienia funkcji służącej (co z miejsca wydaje się mało prawdopodobne). Normalna procedura śledcza potwierdza zarzuty dziewczyny i cbie panie są już bliskie kratek więziennych. Ratuje je miejscowy adwokat, który na własną rękę dostarcza dowodów niewinności dowcipnej starszej pani (Marjorje Fielding) i jej córki (Dulcie Gray) oraz krętactw niewinnie wyglądającej, ale bynajmniej nie naiwnej Ann Stephens. Zdolnego adwokata zagrał przeciętnie Michael Denison.

Wszystko tc byłoby znośne, gdyby nie fakt, że właściwie w filmie prawie się nic nie dzieje. Odnosi się wrażenie, że reżyser tak był zachwycony wyłuskiwanymi z powieści dowcipami starszej pani, iż zupełnie zapomniał o akcji. Może uczynił sobie sport z nasycenia filmu gadulstwem? Metoda ta w każdym razie zabiła film jako potencjalne dzieło sztuki (cc prawda w najlepszym razie tylko stosowanej... do gustów publiczności) i odjęła mu wiele walorów rozrywkowych. Lepiej unikać tego obrazu.

(sp)

Jeszcze o „Św. Joannie" Shaw'a

Szanowny Panie Redaktorze!

Długo nie odpisywałem na list p. Tabcrskiego, drukowany w nrze 52/53 z r. 1950, ale nie mogę ze względu na brak miejsca w ŻYCIU, pisać właściwą, t. zn. obszerną, odpowiedź. A z krótkiej odpowiedzi znowu może — obawiam się — wynikną *nieporozumienia*.

Nie kwestionuję twierdzenia p. Tabcrskiego, że Św. Joanna pierwsza wybaczyłaby Shaw'owi jego błędy. Według nauki Chrystusowej nie tylko należy przebaczać, ale nawet kochać nieprzyjaciół. Ale czy mcżna bronić Shaw'a, jak to czyni p. Taborski, że „w swej prawdziwie shaw-iańskiej przekorze chciał bronić sędziów Joanny, dlategc że wszyscy ich potępiali, przez co źle zainterpretował pewne fakty historyczne"? I twierdzi p. Taborski, że Shaw „nie sfałszował — sfałszowanie jest uwarunkowane świadomością, c którą tu Shaw'a posądzać niepodobna".

Czy sfałszowanie uwarunkowane jest świadomością? Niekoniecznie! Można sfałszować *obiektywnie* (t. zn. niezależnie od subiektywnej odpcwiedzialności autora fałszerstwa) prawdę historyczną o osobie lub fakcie *nieświadomie* lub nie z pełną świadcmością np. skutkiem niezawinionego braku dostępu do wszystkich źródeł historycznych cdnoszących się do tej osoby lub faktu albo na skutek nieprzygotowania metodycznego do pisania historii albo skutkiem t. zw. igncrantia invincibilis.

Nie wiem, co Shaw przestudiował przed napisaniem dramatu o Św. Joannie. Ale *jeśli nie* czytał akt procesów rehabilitacyjnego, beatyfikacyjnego i kanonizacyjnegc, to niczym nie dało by go się usprawiedliwić, że wyrządził moralną krzywdę Św. Joannie. Krzywdę moralną można wyrządzić również *nieświadomie* lub nie z pełną świadomością — np. jeśli po pijanemu lub w uniesieniu odbierającym pancwanie nad sobą opowiedział kto zwierzoną sobie tajemnicę lub czyny, które z tego czy innego powodu nie powinny być wyjawione, tc czyż mimo to, że można starać się tłumaczyć go lub usprawiedliwiać nawet, nie wyrządził *obiektywnie* krzywdy moralnej tej osobie, której tajemnicę zdradził lub której czyny niepotrzebnie wyjawił?

„Wydaje mi się — pisze p. Taborski — że zarzut czyniony... autorowi Św. Joanny, że zaprzecza on nadprzyrodzonego charakteru misji dziewicy orleańskiej, jest nieuzasadniony. Nawet jedyny przykład, gdzie dało się Shawa przyłapać na tym..." Dlaczego „jedyny przykład"? Podałem ten przykład nie jako jedyny, bo napisałem dalej: „nie mnóżmy oskarżeń". I odesłałem Czytelników do obszernej 23-stronicowej, oceny dramatu, napisanej przez Christopher Hollis'a.

Uprościł sobie p. Taborski kontr-argumentację. Jeśli chcemy udowodnić coś na podstawie The Ccncise Oxford Dictionary, to nie możemy dobierać znaczeń, które nam odpowiadają, a opuszczać inne. Dlaczego polskie słowc „imaginacja" to nie tyle „imagination", co „fancy"? „Fancy" bowiem to nie tylko „delusion, unfounded belief". A „imagination" to nie tylkc „mental faculty forming images of external objects not present to the senses". Wszak powołany słownik (wydanie III z r. 1934 i następnych) podaje, że „imagination" ma także znaczenie „fancy", a „fancy" to także „faculty of calling up things not present, of inventing imagery; mental image". Jeszcze inne znaczenie „imagination" i „fancy" podaje tenże słownik.

Zresztą cała kontr-argumentacja p. Taborskiego i chęć wytłumaczenia Głosów Św. Joanny (w tym pokazuje się szkodliwość dramatu Shawa!) jest niepotrzebna. Odsyłam chętnych Czytelników do trzypensowych brcszurek: Milburn „St. Joan of Arc", Catholic Truth Society B 93 i O'Conneil „St. Joan of Arc", Catholic Truth Society of Ireland i do obszernych prac Petit de Julleville „Joan of Arc", Justin Rousseil „St. Joan of Arc" i tylu, tylu innych. W wymienionych opracowaniach i dziełach (cczywiście i w innych także) czytamy, że Św. Joanna widziała Świętych oczyma ciała i głosy ich słyszała uszyma ciała. Stwierdziła to jak najwyraźniej, zaznaczając: „tak, jak was widzę i jak was słyszę", i: „mówią pięknym językiem i rozumiałam ich doskonale." Na pytanie, co widzi ukazującego się, odpowiedziała: „Twarz." „Czy niewiasty święte mają włosy?" „Co za pytanie! Tak." „Jak mówiły, jeśli nie mają ciała?" „Zcstawiam to Bogu." „Czy Św. Michał Archanioł był nagi?" „Czy myślicie, że Bóg nie ma czym go przyodziać?"

We wspaniałej książce kanonika Rousseila „St. Joan of Arc" jest obszerny rozdział: „St. Joan of Arc and her voices and visions" (str. 116 - 140 i 265 - 270).

Pisałem, że dramat Shawa o Św. Jcannie jest — przede wszystkim *obiektywną jego wartość* biorąc pod uwagę — utworem szkodliwym. Chodziło tu więc o ustalenie, że jest szkodliwy *per se*. Co nie przeszkadza, że *per accidens* może wywrzeć na kogcś np. niewierzącego wpływ uszlachetniający lub nie - katolika naprowadzić na myśl przestudiowania obszernego życiorysu Św. Joanny, co w konsekwencji może go nawet doprowadzić dc prawdziwego Kościoła.

Ale nie chcę omawiać tego zagadnienia, bo trzeba by osobny artykuł napisać.

Wreszcie — nie odważyłbym się wyrazić zgody na twierdzenie p. Taborskiego o smutnym pcziomie hagiografii w ogóle. Jest hagiografia dla ludzi nie mających wykształcenia średniego lub nawet elementarnego, jest i dla ludzi mających wykształcenie akademickie. I nie brak —dzięki Bogu — głębokich dzieł hagiograficznych, niełatwych do czytania, bo wymagających od czytelnika dużegc wkładu myślowego do ich zrozumienia.

Pozostaję z poważaniem

Dr Władysław Jelonek

OKRĘT

Okręt — morski włóczęga
Płynie, — dawniej żaglami napęczniały, —
Teraz żelazny związ
Kominem w niebo strzela.
Ze wzdętej morskiej piersi
Wypruwa piany biel,
Snuje za sobą srebrne wstęgi
I stadem mew, nad pokładami śpiewa.
Okręt do snu przez fale kołysany
Wentylatorów lśni fajkami.
Okręt pijany morskim szumem
Przez smutek płynie, przez zadumę
Na bezkresie widnokręgu,
Za horyzontem jednym, drugim
Ginie...
I tylko niebo
Tylko morze
Tylko wiatr...

LUDWIK DYGAT

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne oostatniego okresu

„FESTIVALITIS“

Pod tym tytułem krytyk muzyczny „*Sunday Times*" Ernest Newman ośmiesza manię nazywania byle jakich często imprez muzycznych czy serii koncertów „festiwalami", — manię, która szczególnie rozpanoszyła się w ostatnich paru latach. „Mam przed sobą — pisze Newman — szereg prospektów stołecznych i prowincjonalnych „festivali", mających się odbyć tego lata, i dcprawdy nie mogę ujrzeć większej różnicy między 99 procentami tego wszystkiego a zwykłym sezonem koncertowym. Cieszę się oczywiście, że w tylu miejscowościach kraju każdy będzie mógł w lecie słuchać muzyki, choćby po większej części były to te same dawne utwory, grane przez te same dawne orkiestry pcd batutą tych samych dawnych dyrygentów..,"

Newman ostrzega przed używaniem szumnego określenia „festivalu", jeśli pod tym nie kryje się nic naprawdę nowego i twórczego. Jako przykład podaje operę Covent Garden, która jego zdaniem nie dcciągnie do poziomu, wymaganego przez Festival Wielkiej Brytanii. Jest rzeczą godną pochwały, że opera ta wystawia po raz pierwszy operę Vaughan Williamsa „*The Pilgrim's Progress*", jesteśmy jej także wdzięczni za wystawienie „*Alcesty*" Glucka. Na tym jednak koniec; większej inicjatywy w wystawieniu dalszych dzieł nie okazano, chcć było w czym wybierać.

Newman uważa natomiast za wielkie wydarzenie w zakresie muzyki wznowienie festivalów wagnerowskich w Bayreuth w Niemczech. W tym roku bieżącym festival ten zaczyna się 25 lipca. Newman zachęca młodsze pokolenie angielskie, by odwiedziło Bayreuth tego lata, by zapoznać się z Wagnerem w najlepszym wykonaniu.

W różnych pismach tcczyła się do niedawna ożywiona, lecz mocno spóźniona polemika na temat, czy Festival W .Brytanii powinien w ogóle się odbyć wobec groźnej sytuacji międzynarodowej i ncwego pogorszenia w położeniu gospodarczym W. Brytanii, którego wyrazem są mnożące się ograniczenia spożycia. Przygotowania do Festivalu są jednak już zbyt daleko posunięte, by głosy takie mogły mieć jakie praktyczne znaczenie.

„OXFORD HISTORY OF ENGLAND“

Ukazało się do tej pory 8 tcmów monumentalnej „*Oxford History of England*", obliczonej ogółem na 14 tomów. W ukazywaniu się tomów nie ma kolejncści, często bowiem część, dotycząca okresu późniejszego, zostanie wykończona szybciej. Na wiosnę rb. pojawi się tom III: „*From Domesday Book to Magna Carta. 1087 - 1216*", napisany przez A. L. Poole'a, prezydenta St. John's College w Oksfordzie.

Redaktorem całości jest dr G. N. Clark, Provost Oriel Ccllege w Oksfordzie.

O ODBUDOWIE GOSPODARCZEJ EUROPY ZACHODNIEJ

W Nowym Jorku nakładem półurzędowej *Council on Foreign Relations* wyszło pt. „*The Economics of Freedom. The Progress and Future of Aid to Europe*" sprawozdanie z dotychczasowej pomocy gospodarczej, udzielonej krajom europejskim przez Stany Zjednoczcne. Książka ta zjawiła się równocześnie na rynku angielskim pod auspicjami „Royal Institute of International Affairs". (cena 35s.). Redagował ją Howard S. Ellis, przedmowę napisał gen. Eisenhower.

Książka ma wyraźnie piętno urzędowe, ale niewątpliwie zawiera dużo cennych danych, jeśli chodzi c ubiegłych lat kilka. Natomiast jej rozważania dotyczące przyszłości stały się w dużym stopniu nieaktualne w wyniku wojny koreańskiej i obecnego rozwoju połćżenia międzynarodowego.

FAKTY I PRAWO

Donoszą nam z Rzymu:

Trudno jest, jak dotychczas, dokładnie ustalić. co zaszło ostatnio w dziedzinie kościelnej w Zachodniej Polsce. Punkt wyjścia stanowią następujące fakty:

Na mocy specjalnych pełnomocnictw, śp. Prymas Hlond w 1945 rcku zorganizcwał hierarchię kościelną dla ziem ongiś należących do Gdańska i Rzeszy niemieckiej, a podlegających, wskutek tzw. „umów poczdamskich", obecnemu reżymowi władającemu w Polsce. Działając w imieniu Papieża, Kardynał Hlond mianował pięciu Administratorów Apostolskich. Stanowiska Administratcrów objęli: a) dla diecezji Gdańskiej („sedes impedita" wskutek uwięzienia biskupa Spletta) ks. Andrzej Wronka, b) dla diecezji Warmijskiej (w granicach układu poczdamskiego) ks. Teodor Bensch, c) dla archidiecezji Wrocławskiej (w nowozakreślonych ad hoc granicach) ks. Karol Milik, e) dla nowej jednostki administracyjnej kościelnej w Opclu i ziemiach okolicznych — ks. Bolesław Kominek, f) dla nowej jednostki administracyjnej w Gorzowie i ziemiach okolicznych — ks. Edmund Nowicki. Ziemie te liczyły w roku 1950:

	wiernych	księży	kościołów
Gdańsk.	275.000	95	129
Warmia.	622.000	220	383
Wrcław.	1.600.000	615	1.088
Opole.	1,200.000	616	900(?)
Gorzów.	1,180.000	355	1.236
Razem	4.877.000	1.301	3.736

Ziemie te stanowią w Polsce strefę najsłabszego oporu wobec prześladowania religijnego (kler w nich jest przeważnie napływowy, jego łączność z ordynariuszem słabsza niż ta, która łączy kler na miejscu wychowany z biskupem, ludncść również napływowa, związana tylko od niedawna z proboszczami, bez głębszej łączności ze świątynią, cmentarzem itp., złożona z ludźi wyrwanych z własnych środowisk na ziemiach wschodnich).

Jak wiadomo, reżym w swej prasie wyrzucał Watykancwi, że nie mianował on biskupów na miejsce administratorów apostolskich w Gdańsku, Warmii i Wrocławiu, i nie erygował i nie obsadził diecezji w Opolu i Gorzowie. Watykan, pomijając inne trudności, mógłby przystąpić do tej akcji dcpiero po ustaleniu granic w drodze układu międzynarodowego pomiędzy właściwymi władzami państwowymi. W obecnym stanie rzeczy powierzenie administracji polskim księżom, dokonane przez Kard. Hlonda, uważane jest za rczwiązanie najdalej idące w kierunku pomyślnym dla Polski. W układzie podpisanym przez biskupów w kwietniu ub. roku zobowiązali się oni wobec reżymu do przedstawienia Watykanowi prośby c mianowanie biskupów na miejsce obecnych administratcrów. Nie jest wiadome, co w tej dziedzinie biskupi zrobili.

Dnia 27 stycznia 1951 r. reżym ogłosił, że Administracje Apostolskie na Ziemiach Zachodnich mają być natychmiast skasowane, dotychczasowi administratorzy apostclscy usunięci a na ich miejsce mają lokalne kapituły wybrać regularnych biskupów. Oto fragment dekretu reżymu:

„W tej sytuacji Rząd Polski, zważywszy, — że zostało zakończone wytyczenie granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nysie, a tym samym granica ta została uznana przez Rzeczpospolitą Polską i Niemiecką Republikę Demokratyczną za nienaruszalną i wieczystą granicę między obu krajami, — że stan tymczascwości na Ziemiach Zachodnich staje się zarzewiem niepokoju i wrogiej Polsce działalności, — że stan ten godzi bezpośrednic w interes Państwa i Narodu Polskiego, zarządził likwidację stanu tymczasowości w administracji kościelnej na Ziemiach Zachodnich w postaci Administratur Apostolskich i usunięcia z tych diecezji duchownych, którzy pełnili funkcje Administratorów Apostolskich.

„Umożliwi to wybór wikariuszy kapitulnych oraz uznanie wszystkich dotychczasowych proboszczów za stałych zarządców swych parafii i stałych wykonawców swych funkcji.

„Usunięcie tymczasowego nienormalnego stanu skuteczniej zabezpieczy chronioną przez ustawy pełną swcbodę kultu religijnego i zaspakajania potrzeb religijnych wierzących".

Reżymowi chodziło więc o usunięcie administratorów: kapituły miały wybrać nie „regularnych biskupów", lecz regularnych „ordynariuszy" — to jest wikariuszy kapitulnych (obiektywnie, wikariusze kapitulni i administratorzy apcstolscy są jednakowo „regularni" jako ordynariusze).

Według komunikatu radiowego, wydanego przez reżym 29 stycznia, „administratorzy apostolscy opuścili swcje diecezje". Według tego komunikatu radiowego z 29.I „stanowiska wikariuszy kapitulnych objęli: a) w archidiecezji Wrocławskiej — archiprezbiter ks. Kazimierz Lagosz, b) w diecezji Opolskiej — ks. dziekan Tadeusz Załuczkowski, c) w diecezji Gorzowskiej — ks. dziekan Emil Kobierzycki, d) w diecezji Gdańskiej — ks. Jan Szymanowski, e) w diecezji Warmińskiej — ks. Wojciech Wink, nctariusz Kurii. Wikariusze kapitulni przystępują niezwłocznie do mianowania stałych proboszczów na Ziemiach Odzyskanych".

Wynikało by stąd, że z punktu widzenia praw kanonicznych, w Gdańsku, Warmii, Wrocławiu, Opolu i Gorzowie, od chwili ich cpuszczenia przez administratorów apostolskich, są „sedes impeditae" w sensie Kan. 429 i że legalna władza przechodzi do wikariuszy generalnych, mianowanych przez usuniętych bezprawnie administratorów, ewentualnie do delegatów wyznaczonych przez tychże administratcrów, którzy mogą być mianowani do kolejnego następstwa jednego po drugim (Kan. 429, par. 1,2). Dopiero gdyby nie było ani wikariusza generalnego ani delegata, kapituła może wyznaczyć wikariusza kapitulnego. W braku kapituły, wikariusza kapitulnego mianuje „coetus ccnsultorum" (Kan. 427, 429, par. 3). Nie ma kapituł w Gdańsku, Opolu i Gorzowie: nie wiadomo czy działają kapituły Warmińska i Wrocławska. „Consultores" powinni być mianowani wszędzie tam, gdzie nie ma kapituł.

Nie wiadomo co się stało z wikariuszami generalnymi, którzy istnieli we wszystkich pięciu administracjach apostolskich, również o ewent. delegatach administratorów nie ma się wiadomości. Gdyby oni istnieli, „wikariusze kapitulni" mogliby być wybrani tylko bezprawnie i byliby intruzami. Krótkość czasu pomiędzy zarządzeniem o usunięciu administratorów (26.I.), a objęciem stanowisk przez rzekomych „wikariuszy kapitulnych" (29.I.), pozwala przypuścić, że nie zostali oni w ogóle wybrani przez kanoników lub konsultorów: w wypadku gdyby byli wybrani pcmimo istnienia wikariuszy generalnych czy delegatów, tym bardziej zaś w wypadku objęcia stanowisk bez wyboru, podpadają oni pod ekskomunikę zastrzeżoną Stolicy Apostolskiej w Kan. 2334 par. 2.

Nawet gdyby się okazało, że wikariusze kapitulni zcstali legalnie wybrani przez kapituły (lub przez konsultorów), mamy do czynienia z gwałtem dokonanym przez reżym nad organizacją kościelną w Polsce ce. Jeśliby zaś — co w świetle powyższego jest prawdopodcbne — ci wikariusze kapitulni byli nielegalnie osadzonymi intruzami, ich administracja wprowadziłaby ogromny zamęt w życie Kościoła na Ziemiach Odzyskanych. W szczególności mianowani przez nich probcszczowie spełnialiby wszystkie funkcje niegodnie a w wielu wypadkach nieważnie.

Nie ulega wątpliwości, że wywołanie tego zamętu jest jednym z zamierzeń reżymu, kierowanego w tych sprawach, jak wiadomo, bezpośrednio przez moskiewskich mocodawców.

Na tle chacsu zaznacza się rola „księży patriotów". Niektórzy z nich wzięli udział, pomiędzy 26 a 29.I. w kampani prasowej, pochwalającej zarządzenia reżymu (ks.ks. Karpiński, Litewko, Lewandowski, Bąk). Niewątpliwie wśród nowych wikariuszy kapitulnych muszą być „patrioci" lub do nich zbliżeni księża. Stworzenie „patriotycznej" a więc „niezależnej od Rzymu" hierarchii — na początek w Polsce Zachodniej — byłc na pewno jednym z zamierzeń reżymu i Moskwy.

*

Rozeszła się pogłoska, jakoby administracja narzucona Zachodniej Pclsce przez Moskwę, w wykonaniu zleceń mocodawców odwołała, przez usta p. Bidy, „umowę", której tekst został narzucony przez reżym Biskupom polskim. Niezależnie od tego czy ta wiadomość się sprawdzi, tutejsze sfery cdpowiedzialne podkreślają, że umowa kwietniowa nigdy nie była uznawana ze strony Stolicy Apostolskiej, że z drugiej strony administracja warszawska nigdy nie wykonywała jej postanowień; że obecne odwcłanie nic by nie zmieniło ani w stanie rzeczy prawnym, ani faktycznym.

*

Według wiadomości z radia warszawskiego nowy wikariusz kapitulny na diecezję Gdańską ks. Szymanowski, który wszedł na miejsce usuniętego przez reżym administratora apostclskiego, ks. Prałata Wronki, zebrał księży diecezji Gdańskiej i w przemówieniu do nich stwierdził, że jest legalnym ordynariuszem. Brak dotąd danych, by stwierdzić, czy ks. Szymanowski został wybrany przez zebranie konsultorów diecezjalnych; czy wybory te były prawne; czy po usunięciu administratora apcstolskiego nie było wikariusza generalnego lub delegata-administratora; bez tego wszystkiego wybór wikariusza kapitulnego byłby nieważny i ks. Szymanowski byłby po prostu intruzem. Nie mówimy już o bezprawiu jakim było ze strony reżymu pczbawienie ks. Prałata Wronki, legalnego ordynariusza Gdańskiego, możliwości spełniania swoich obowiązków. W każdym razie władza ks. Szymanowskiego, jako wikariusza kapitulnego, trwa tylko tak długc jak na to pozwoli Stolica Apostolska, która jest władna w każdej chwili go odwołać i wszelkiej władzy pozbawić, zgodnie z Kan. 443 Kodeksu Prawa Kanonicznego.

Z WYSTAW

WYSTAWA POLSKIEJ SZTUKI GRAFICZNEJ

W Londynie urządzone zostały ostatnio dwie wystawy polskiej sztuki graficznej. Pierwsza z nich, wystawa artystycznych plakatów, odbywała się w sali wystawowej znanej księgarni Foyles przy Charing Cross Road. Wystawa ta obejmowała szereg dobrej lub niezłej klasy plakatów, zwłaszcza teatralnych, wykonanych częścią przez znanych jeszcze przed wojną artystów (jak Gronowski, Lipiński, Daszewski), częścią przez młodsze siły. Ogólne wrażenie bardzo psuć musiał krzykliwy akcent propagandowy, wyrażający się w dużej liczbie poślednich zresztą rysunkowo plakatów z obowiązującymi dziś w Polsce sloganami.

Druga wystawa: ilustracyj i okładek książkowych, odbywająca się obecnie w Grillion Galleries, 7, Albemarle Street, przedstawia się pod tym i innymi względami lepiej. Dominują w niej ilustracje z książek dla dzieci, wiele bardzo dobrych. Wśród ilustratorów tych wyróżniają się J. Konarska, Eryk i Hanna Lipińscy, Olga Siemaszko, K. Sopoćko, J. Karolak, J.M. Szancer. Artyści ci — jak wystawa pokazuje — wykonują również ilustracje dla innych książek, i tutaj jeszcze wymienić należałoby M. Bylinę, A. Uniechowskiego, M. Jurgielewicza, I. Witza, H. Bocianowskiego.

Wśród papierowych okładek książek spotyka się wiele o ładnej kompozycji i kolorycie, jednak zebrane razem okładki te rażą pewną jednostajnością.

Jako najpiękniejszą pod względem graficznym książkę polską wydaną po wojnie spotykamy znane i Polakom na emigracji ozdobne wydanie „Pana Tadeusza" w dużym formacie z pięknymi barwnymi ilustracjami T. Gronowskiego.

Frekwencja na obu wystawach bardzo słaba.

DWIE OMYŁKI

W treści nru 7 ŻYCIA dostrzegliśmy dwie omyłki, jedną zecerską i jedną rzeczową.

Tytuł sprawozdania na str. 7 powinien brzmieć „Kryzys literackich braci syjamskich", a nie „Kryzys literacki braci syjamskich".

W recenzji książki E. Różyckiego p.t. „Literacka prawda o Wrześniu" autor mylnie podał tytuł ncweli „wrześniowej" Adolfa Rudnickiego. Nowela nosi tytuł „Blic" (a nie „Wrzesień") i zamieszczona jest w zbiorze p.t. „Ucieczka" z Jasnej Polany" (a nie „Szekspir").

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pan R. J. Kobyliński — Holding Centre Mildura, Australia. Wysyłkę pocztą lotniczą zaczęliśmy. Przedpłata na książkę „W Polsce między wojnami" już zamknięta, ale proszę się odnieść wprost do autora, adres: J. Giertych, 16, Belmont Rd., London N. 15 i tam wpłacić należność.

„*WIRTUZ*" — Wierszy nie zamieścimy.

Nr. 467652 — kwitujemy ofiary: 8/- dla studentów, i resztę 7/- na Katol. Nagrody Literackie. Niestety wobec anonimowości listu nie możemy na niego odpowiedzieć.

STUDENCKA PIELGRZYMKA JUBILEUSZOWA

Dnia 7 marca br. P.K.S.U. **Veritas z inicjatywy Pax Romana organizuje studencką pielgrzymkę jubileuszową dla uzyskania odpustu Roku Świętego. Pielgrzymka piesza wyruszy o godz. 7.00 p.p. z Brompton Oratory do St. Marys, Cadogan Gdns., St. Edwards i Westminster Cathedral.**

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: **Veritas Foundation Publication Centre.** Adres redakcji i Administracji: **Polish Weekly, ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W. 2. Telefony: Redakcja i Administracja:** AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17** — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja **żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. **Prenumerata** płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty** przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi **„crossed"**, wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; **w tekście** 50% drożej, na stronie **tytułowej** 100% drożej. **Prenumerata zagraniczna:** SZWECJA: **miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr.** Przedstawiciel: B. KUROWSKI. Anggatan 6 c. Lund. Sverige. Sweden. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. **ARGENTYNA:** cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI. Składnica Książki Polskiej. Av. **Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires.** SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: PKSU VERITAS, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2. USA: kwartalnie pocztą zwykłą 2 dol.; pocztą lotniczą — 5 dol. Przedstawiciel: A. Stojanowski, 36, Dearborn Ave, Rye, N.Y.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734